

JÓZEF NIECZUJA MINIEWSKI

JEGO UDZIAŁ W POWSTANIU STYCZNIOWEM

NOTATKI Z LAT MŁODYCH — EPIZODY — LISTY
+ OTWARTE — GŁOSY KRYTYKI — WIERSZE. +

WYDAŁ

MICHAŁ MICHAŁOWSKI

Powstali, bo rozpacz kazała,
Bo nadto znęcały się katy,
Bo wszelka się miara przebrała,
Z kijami szli — na armaty.
Bez butów brodzili po śniegach,
Bez dostatniego odzienia,
Nieletnie chłopaki w szeregach,
Walczyli jak lwy bez wytchnienia...
Z. Onyszkiewicz.

NAKŁADEM PRYWATNYM
DRUKARNIA JAEGERA, LWÓW, SYKSTUSKA 33
1918.

79



26802

II

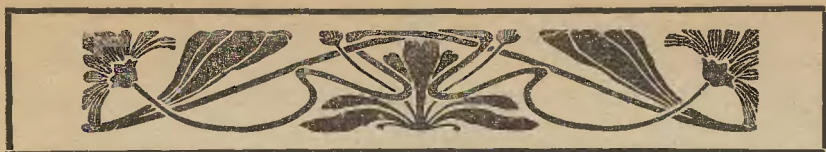
Pruska Warszawa. 12. III 32.



51



X-59419
26802 II



Przedmowa wydawcy.

W epoce półwiekowego jubileuszu powstania styczniowego, ukazał się szereg publikacyi, wśród których, niezabrakło niestety i błędnego fałszywego przedstawienia faktów, zdolnych obalamucić opinię publiczną.

Do rażących w tym kierunku grzechów, należą przede wszystkim prace Franciszka Rawity Gawrońskiego, oparte z jednej strony, na tendencyjnie przekręcanych twierdzeniach, w pamiętnikach Floryana Ziemiałkowskiego, z drugiej zaś strony, na plotkach zawistnych, lub młodzieniaszków o bujnej fantazyi.

Nic dziwnego, że przeciw tego rodzaju traktowaniu sprawy, odezwały się głosy ostrej krytyki, zwłaszcza na temat opinii nieudanej wyprawy Radziwiłowskiej, ostre oceny pracy Fr. R. Gawrońskiego, opublikowane w broszurach I. B. Chołodeckiego L. Sroczyńskiego, E. Webersfelda i innych, których nieprodukuje się tutaj, ażeby nie nużyć czytelnika potępianiem jednych i tychsamych kardynalnych błędów, w jakie popadł rzekomy historyk dziejów powstania styczniowego.

Otrzymał też Fr. R. Gawroński odprawę w przedmowie wydawcy pamiętników powstania 63/4, w pięćdziesiątą rocznicę wypadków (wznowienie Księgi pamiątkowej, opracowanej przez I. B. Chołodeckiego) Lwów 1913. w ostrych dyskusjach na posiedzeniach Wydziału Towarzystwa powstańców 63/4, na

wałnem Zgromadzeniu Tow. niemniej i w prywatnych listach, wystosowanych przez grono weteranów z 1863/4.

W celu sprostowania opinii publicznej i umożliwienia bezstronnego zorientowania się w właściwym stanie rzeczy, uważałem za wskazane zebrać rozrzucone w czasopismach i broszurach ważniejsze artykuły i przedstawić je przed oczy Rodaków.

Lwów, w sierpniu 1918.

M. MICHAŁOWSKI.



Powstaniec z r. 1863—1864. — Legionistom z lat 1914—1918.

Wy śladem dziadów poszli serdeczną przelać krew
 Na ów „rozdartej” Polski gorący bólem zew,
 Wy sztandar „Zjednoczonej” umieli w górę wznieść,
 Więc Wam po wieki wieków, miłość i sława — cześć!

Józef Nieczuja Miniewski.



POWSTANIEC Z 1863/4 R., LITWIN.

ZAMIAST SŁOWA WSTĘPNEGO.

Kilka uwag na temat partyzantki z lat 1863/64.

Jakikolwiek może być sąd o powstaniu styczniowym, nie da się zaprzeczyć, że partyzantka ta, trwająca półtora roku, była potężnym odruchem ciemniejszego ludu, na podłożu wiary i poświęcenia, była bohaterską iście walką, męczeństwem, składaniem na ołtarzu Ojczyzny z godnością i ufnością w zwycięstwo dobrej sprawy. Charakter tych starć i bojów był zupełnie odmiennym, różnym od charakteru bitew i zapasów, staczanych przez regularne armie.

Ze szkoły, z domu rodzicielskiego, od warsztatów, od pług, dążył każdy ochotnik z myśliwską strzelbą, starą ojców szabłą, z kosą, a nawet samym kijem tylko w dłoni, na miejsce zboru, a dążył tajnymi ścieżkami pod grozą schwytania, więzienia, albo i szubienicy. Zaledwie przebył szczęśliwie przeszkody, zaledwie stanął u celu wędrówki, zwykle gdzieś w głębi boru, szedł zaraz w bój, na doskonale karabiny i broń postępową, wydierał ją żołdatom, acz sam nie wyćwiczony w wojskowej służbie, nie nałożony do władania orężem! Zwyciężywszy niemógł odpoczywać, nazajutrz bowiem nowa była bitwa, lub marsz forsowny w otoczeniu moskiewskich oddziałów.

O nadzwyczajnych trudach w marszu, takiego partyzanta niema częstokroć regularny żołnierz nawet pojęcia!

Pokonani powstańcy przechodzili się wprawdzie i rozbiegali, poto jednak tylko, aby rychło na innem zgromadzić się miejscu, sformować nowy oddział i do nowej stanać walki. Postępowanie tego rodzaju leżało w systemie podjazdowo-leśnej wojny. Ustupując z placu boju, przebiegał się każdy żołnierz odrębnie po za linią okalającą go nieprzyjaciela, żaden bowiem polski oddział, nie formował się na przestrzeni oswobodzonej, wolnej od Rosyan, przeciwnie, zawsze był otoczony przeważającą siłą.

Szeregi powstańcze r. 1863/64 nieznały kapitulacyi, nie składały broni przed Moskalami, a bywały wypadki, że wszyscy ginęli raczej, a nie ustąpili przed zwycięzcą. Zdumiewające były nieraz przykłady waleczności, poświęcenia tak jednostek, jak i całych grup.

A jakież to niedostatki, jaką biedę, nędzę i głód cierpiał ten młody polski żołnierz. W zimie wśród lutych, trzaskających

mrozów, w czasie śnieżnych zamieci i północnych wichrów, w czasie zlewy deszczowej i skwaru słonecznego, bez namiotu, bez dachu nad głową, dzień i noc pod otwartem niebem, uosobienie wytrwałości, jakiej nie zwykły były łamać niepowodzenia, zawód i brzemie klęski.

Daremniemi były często starania jakiegoś z dowódców, daremniemi prawdziwie ofiarne poświęcenie współziomków o pomieszczenie i wyżywienie młodzi powstańczej. Zastępy rosyjskie mściły się srogo za wszelką pomoc udzielaną „miateży“, zabierały, rabowały żywność po dworach i chatach wieśniaczych. Ocalałe od rabunku wsie dzieliły się wprawdzie chętnie zapasami pożywienia z cierpiącą bracią w obozie, atoli w polu, w lesie, w czasie pospiesznego marszu stanowiły chaust wódki i kawałek chleba jedyny jej posiłek. Dobrze jeśli do postnego chleba otrzymał polski żołnierz kawałek słoniny!

Służba partyzanta była pod względem materyalnym wogóle bezinteresowna, w niewielu tylko oddziałach wypłacano skromny żołd.

Za niezmierne trudy, za walki, za nadzwyczajne czyny i ciężkie rany, nie rozdawano żadnych odznak, ani też orderów. Nagrodą było poczucie spełnionego obowiązku!

Ubiór był różny i dowolny, tak często niestety lichy, niechroniący ciała przed wpływem surowej zmiennej temperatury naszego kraju. Czapki krakowskie, krótkie kurtki lub kożuszki, niekiedy ubranie zbliżone krojem do odzienia włościan, oto strój polskiego żołnierza z lat 1863/64.

Uważany, za wyjątego z pod prawa, rebelanta i rewolucjonistę, nie doznawał ani pojmany, ani ranny powstaniec, żadnej opieki ustaw międzynarodowych, przeciwnie stanowił pożądaną przedmiot zemsty i prześladowania, znęcania się, dla rozpasanego żołdactwa. Rannego dobijano lub wyleczywszy z ran skazywano do kopalni, albo na szubienicę!

Cudów dokazywały Polki w przechowywaniu rannych obrońców Ojczyzny, w pielęgnowaniu chorych i bezsilnych. Lazarety ukrywano po piwnicach i innych, dla wroga nie łatwo dostępnych miejscach. Nie brakło wypadków przenoszenia rannych od wsi do wsi, by usunąć ich z przed oka Moskali.

Któż zdola policzyć szeregi ofiar jakie cierpiały i ginęły wtedy za sprawę wolności Ojczyzny! Liczbę rozstrzelanych i powieszonych z mocy wyroków sądów doraźnych oceniano na 15000 najzaciejniejszych patriotów, a ileż to stracono bez wyroków? Około 35 000 młodzi legło na polu bitew i potyczek, około 125.000 mężczyzn, kobiet i dzieci, wygnano na Sybir, lub do głębokich guberni carstwa, a ileż to osób, rodzin całych cierpiało ponadto pod zaborami sąsiednich państw Prus i Austrii, które wspierały wtedy aliantkę Rosję w tłumieniu „rokoszu“ na ziemiach Królestwa polskiego, konfiskowały broń, więziły ochot-

ników, uprzedzały Moskali o wkraczaniu oddziałów po za słupy graniczne.

A mimo wszystko borykano się z potężnym kolosem przez całych, jak wspomnieliśmy, ośmnaście miesięcy. Tajny polski Rząd narodowy posiadał własną administrację, własną skarbowość, sądy, pocztę i policję. W Warszawie pod okiem jawnej i tajnej straży policyjnej, pod bagnetami kilkudziesięciotysięcznej załogi rosyjskiej, odbywał ten Rząd narodowy swoje posiedzenia, wydawał rozkazy, przyjmował deputacje z prowincyi, wysłanników z zagranicy, był dla Moskali ukrytą, a dla patryotów Polaków, jawną, a przystępną władzą, obudzającą posłuszeństwo i karność wśród zastępów rodaków.

Ileż to osób więzionych po kazamatach, dręczonych surowem śledztwem, znało z imienia i nazwiska członków Rządu narodowego, a przecież nie zdołały carskie władze, pomimo przymuszeń, tortur, głodu i bicia przez długi czas, odkryć tajemnicy, pochwycić właściwego wątku sprzysiężenia. Tak wielką była moralność w narodzie, tak wielką solidarność, tak gorący patryotyzm, tak gorąca miłość Ojczyzny!

Na czynach ówczesnego pokolenia, na bezgranicznem poświęcaniu się dziadów i ojców na płomiennej ich miłości matki-Polski, wzorowały się obecnie, w epoce wszechświatowej wojny, zastępy synów i wnuków, wzorowały bohaterskie Legiony nasze.

Wielkie czyny przekazały tradycją, potomnym pokoleniom, regularne armie polskie, szermierze z lat 1863/64 zaś przekazali potomnym wielkie swe serce i cierpienia.

Lwów, w sierpniu 1918.



JÓZEF NIECZUJA MINIEWSKI.

NOTATKI Z LAT MŁODYCH.

ROZDZIAŁ I.

Pod komendą Śmiechowskiego, Jeziorańskiego i Langiewicza.

*Daj lata Twe młode — daj sny Twej młodości —
Daj przeszłość — i przyszłość! — I wszystko oddałem!
Zapagnie mej duszy, mej wiary — wieczności —
Oddam mówiąc Boże — potępią — kochałem!
(ZAZDROSNA KOCHANKA).*



alemu społeczeństwu polskiemu, znany jest rok 1863. Zabłysnął jak olbrzymi meteor na chmurnym horyzoncie, wywołał zamęt w całym narodzie, pochłonął tysiące ofiar, stał się okresem nadludzkich wysiłków, męczeństw, walk krwawych, pokrył ziemię polską stosami wyborowych ofiar, rozwiął po świecie pozostałe przy życiu dzieci i stał się epoką dziejową. Jak meteor nieuchwytny, jak meteor tajemniczy, nie mógł znaleźć i nie znalazł pisarzy, którzyby mogli nadać błyskawicznemu przebiegowi, pochwyć umykające z pod ręki nitki i złożyć dla potomstwa odpowiednią całość.



JÓZEF MINIEWSKI
dowódca 1. szwadronu gniadych.

Obowiązkiem żyjących jeszcze uczestników tej niezapomnianej epoki, wyzyskać czas postojów na tej ziemi, korzystać z notatek i pamięci żyjących jeszcze przedstawicieli powstania i ich działalności, zebrać o ile się da, pamiętniki pojedynczych, biorących udział osobników, spisywać fakty, których się było świadkami, choć nieumiejętnie — lecz prawdziwie, by rozświecić tę karę dziejową.

Tą myślą powodowany, jako jeden z pionków na szachownicy tego czasu, czuje się w obowiązku spisać wrażenia, jakie wyniosłem z tej epoki, podając krótki rys mego udziału.

Jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, potężny duch kultu ogarnął i upoił masy, którego prześladowanie nietylko

nie zgnębiło — lecz spotęgowało, że zapanował nad całym światem, tak i duch czasu, który wywołał powstanie 1863 r. ogarnął masy narodu naszego i żaden rachunek ludzki nie mógł go powstrzymać i stłumić. Pokolenie wychowane pod godłem „mierz siły na zamiary — nie zamiar według sił“, czując czystość zamiaru, nie liczyło się z możliwością, ale z koniecznością.

Rezultat nieodpowiedział założeniu i tej bezgranicznej ofiarności, z jaką kraj cały wystąpił do zapasów, — jeszcze wówczas, z niezwykłym olbrzymem północy, tembardziej, że walcząc z nim otwarcie, woganiać się musiał dwom drugim — także potężnym — skrycie działającym wrogiem.

Krótkowidze przypisują jednostkom wywołanie powstania. Zapatrywanie to błędne — bo badając dokładnie, bez uprzedzenia te czasy, przekonywamy się, że powstanie styczniowe nie było przez nikogo wywołane — prędzej czy później wybuchnąć musiało, bo było koniecznością z ducha czasu wypływającą. Przyspieszenie tylko wybuchu nastąpiło w skutek złe obliczonej polityki despotycznego przedstawiciela władzy, który sądząc, że swoim zbrodniczym poleceniem branki, zdusi go — wywołał!

Że ten duch ogarnął masy jest pewnikiem — bo inna siła nie mogła zdziałać, by ludzie spokojni, ludzie którzy wychowani od lat niemowlęcych w szkołach moskiewskich, niemal niesłyszący polskiej mowy, niemówiący po polsku, naraz uczuli się gorącymi Polakami, poświęcali przyszłość swą, życie dla Ojczyzny, o której dotąd nie myśleli. A tego dowiódł cały zastęp oficerów i (wojskowych różnych stopni rosyjskich) wojsk — którzy znaleźli się w szeregach powstańczych, tego dowiódł pierwszy związek oficerów w 1860 r. w samem centrum caratu w Petersburgu, oraz liczne kółka tak wojskowe, jak też uniwersyteckie, we wszystkich miastach Rosyi, gdzie się tylko Polacy znajdowali. Jedna myśl, jedno uczucie, jeden duch ożywia naraz wszystkich, którzy się urodzili Polakami, choć wychowaniem kazano im zaprzeczyć się pochodzenia, choć czekały ich zaszczyty, świetna przyszłość — wszystko rzucają, skazując się dobrowolnie na śmierć męczeńską, więzienie, wygnanie, Sybir!

Czyż więc ten zapal, to poświęcenie, mogły wywołać pewne nieznane osobistości? Nie! to duch czasu powołał drzemiące w nas uczucie niesmiertelne! tej, siły nie i nikt się nie oprze — jak huraganowi porywającemu wszystko za sobą.

My sami pionki z owych czasów, pojąć dziś niemożemy, jak się to stało, że naród nasz rozpoczynając walkę z najazdem — modlitwą błagalną do Stwórcy, by tę Ojczyznę ukochaną wrócić nam raczył, nieprzygotowany, nieuzbrojony, lecz silny duchem prawa swego, porwał się i zadokumentował, że żyje! dowiódł, że dalej biernie poniewierać się nie da! Karta to historii naszej wielka i wsłaniała.

Znalazły się osobistości wybitniejsze, które temu dziwnemu usposobieniu naszego społeczeństwa, nadać chciały pewien kie-

runek, opanować je, potworzyły się na całym obszarze ziemi polskiej komitety, jedne umiarkowane — drugie czerwone, spierające się między sobą o zasady, o dzień powstania etc. lecz te komitety nie miały stanowczego wpływu na chwilę wybuchu powstania. Rząd nasz nie czując się przygotowanym, hasła do powstania wydać niechciał, komitet centralny rachował, że za rok organizacja ukończoną będzie, więc i dzień wybuchu powstania, nie prędzej nastąpić może. Komitet rewolucyjny z Mierosławskim na czele — głosił — że dzień branki — dniem powstania będzie. Gdy jednak rząd narodowy nie zawahał się z branką, komitet rewolucyjny w Warszawie, rozwiązał się, a cała organizacja złączyła się z organizacją komitetu centralnego, który nie miał siły powstrzymać wybuchu powstania i party ze wszech stron okolicznościami uchwalił dzień takowego.

Naród, nasz na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej powstał! Nie spowodowały pojedyncze indywidua — niepewna koterya, ani komitety wywołały powstanie lecz duch czasu! Tego winić lub błogosławić należy. Dzisiejsza generacja niezrozumie tego, bo my którzy żyliśmy w tych czasach, współdziałali i czuli naprężenie każdej chwili dziwimy się dziś, jak się to stało, jak okoliczności jedna z drugiej wywiązywały się — do wybuchu zdążające, którym logika, zapory stawić nie mogła. Ojcowie, których jako starszych, rozważniejszych, młodzież do wstecznych zaliczała, którzy byli przeciwni ruchowi, gdy nadszedł dzień stanowczy, błogosławili synów idących na rzeź, bo nie inaczej nazwać można rozpoczynające się powstanie! Szli bowiem z kijami, nożami, pukawkami od polowania, nie mając pojęcia o taktyce wojennej, przeciw wyćwiczonemu i dobrze uzbrojonemu, niewyczerpanym mas wojsku. Szli ochotni z wiedzą, że gdy zginą, wypełnią obowiązek zaciągnięty względem Ojczyzny, z przekonaniem w świętość — sprawy i z wiarą, że Opatrzność przyjdzie w pomoc, że są Jej narzędziami do oswobodzenia kraju od najazdu!

Zadnemu nie chodziło stać się bohaterem, bo szedł, by wypełnić swój obowiązek. Ta wiara pozwalała oddziałom nieuzbrojonym, nieokrytym, głodnym, powoli zaopatrywać się na wrogu w broń i amunicję, a ten drżał z trwogi, przed temi garstkami źle uzbrojonymi, głodnymi, lecz pełnymi zapału i poświęcenia.

Lawina spadając z niebotycznej śnieżnej góry, rozpoczyna bieg swój małą kulka, która rośnie, olbrzymieje w biegu, znalazłszy przysposobiony grunt do swego powiększenia się w roztałym ciepłem wiosennego słońca śniegu, a czyż w mocy ludzkiej zapobiedz jej formowaniu? Ciepły podmuch wiatru spowodował częściowe oderwanie się odrobiny śnieżnej, która znalazłszy warunki sprzyjające olbrzymieje? Rok 63 czyż miał wiadomy nam początek? Czyż w dzisiejszych lub innych czasach pieśni śpiewane nabożne i patryotyczne mogłyby przybrać charakter ogólny narodowy, jak to przed 63-cim rokiem miało miej-

sce? Czyż z tych pieśni urosłoby mogła lawina porywająca serca i umysły do poświęcenia podobnego tej epoce! I rosła i potęgowała ta lawina, niedbając na nic i na nikogo i ogarnęła kraj cały!

Jak roślina, po twardej zimie, czując wiew wiosny, wypuszcza latorośle nietroszcząc się, że mogą nastać mrozy, które je zmorożą, tak nasze powstanie siłą uczucia, w sercu naszym będącego, wyrosło, bez względu na to, że może nadejść mróz, który zwarzy ten piękny kwiat uczuć narodowych. Kwiat ten zmarł, ale krzew krwią naszą zlaną krzewi się, zapuszcza korzenie coraz szerzej i głębiej i znowu nastanie wiosna, a krzew ten wyda latorośle, które nie tylko zakwitną, ale wydadzą owoce dojrzałe, na pokarm pokoleniu, które będzie ich godne, gdy pozbędzie się sobkostwa, tego nieszczęśliwego ja, od XVI. wieku tak strasznie, nurtującego i gnębiącego naszą Ojczyznę.

Pierwszy okres naszego powstania, to działanie narodu bez żadnej inicjatywy, wywołane zbudzeniem poczucia obowiązku każdego Polaka. Mówię narodu — bo wszystkie warstwy społeczeń-

stwa naszego wzięły czynny i serdeczny w niem udział. Wprawdzie włościan ilościowo najmniej, ale ta liczba, która się znajdowała, dowiodła żywotności tej najliczniejszej masy rodaków naszych, tak do 63 r. po macoszeniu traktowanych obywateli kraju; dowiodła że gdyby wcześniej zostali uświadomieni i prawa obywatelstwa uzyskali, Ojczyzna miałaby z nich zastępy nie z wyciężone obrońców swoich! Niestety zapóźno o tem pomyślano, by rok 63 mógł mieć z nich pożytek.



Drugi okres powstania 63 r. obejmuje działania powstańcze po upadku dyktatury, tu już więcej występują starania osobiste, ludzkie, do przedłużenia i podtrzymania powstania, celem uzyskania obiecywanej interwencji, tych tak szlachetnie bawiących się nami i wyzyskujących naszą dobrą wiarę rządów! tej Francyi, dla której tyle krwi naszej przelanej, tyle kości rozproszonych po całym świecie!!

Tu już nie duch czasu, nie siła niewidoma — tu osobistości występują. Widzimy ludzi prawdziwych patriotów nieszczędzących ofiary krwi i mienia, ale zdarzają się i szumowiny, powodowane prywata, a osobiste zyski mające na celu, przeciwne powstaniu, a niby służące tegoż sprawie.

W tym to okresie, ludzie dobrej woli, wezwani do akcji, organizują oddziały z polecenia R. N. który po upadku dyktatury objął ster na nowo.

W tej liczbie wypadł wyrok i na mnie.

Jako oficer inżynierów petersburskiej mikołajewskiej wojennej akademii, należąc do najpierwszego kółka rewolucyjnego, zawiązanego przez oficerów w Petersburgu, choć zesłany do Połtawskiej gubernii, udało się mnie dostać urlop do rodziców, mających majątki w warszawskim i rawskim powiatach, a następnie i dymysję.

Przybywszy do domu w 1861 roku z poleceniami od Kółek patryotycznych petersburskich i kijowskich do warszawskich, zaraz wraz z dwoma starszymi braćmi Władysławem i Bronisławem — do czynnych robót użyty zostałem, jako agent województwa Mazowieckiego — propagandę między chłopstwem, mieszczaństwem i obywatelstwem prowadząc, wkrótce okolice zorganizowaliśmy, a wraz z kilkoma obywatelami, jeszcze przed wybuchem powstania uwłaszczyliśmy włościan.

Nie mogę inaczej, jak tylko z największym uznaniem wyrazić się o naszym wiejskim ludzie. Widocznie że tam, gdzie z tym ludem po bratersku postępowano, uczucie patryotyzmu obce im niebyło, gdyż gdyby ten lud źle był usposobiony, zaraz w początkach, wszelkie roboty przygotowawcze sparaliżowane by zostały. Włościanie atoli szli z nami ręką w rękę, wielkie wyświadczały przysługi, a zdrady niebyło przykładu, bo nienawidzili Moskali. Wielką mi też usługę wyświadczał mój mundur oficerski i dopomógł do przeprowadzenia tego, co cywilnemu by nieuszło, szczególnie w sprowadzaniu broni i amunicji z Warszawy na wieś, i wywożenie z Warszawy ściganych patryotów.

Mając ciągłą styczność z przedstawicielami R. N., a jednocześnie i sposobność dowiedzenia się, przy sprawozdaniach innych agentów, przybywających z różnych stron kraju, że nasza organizacja i zaopatrzenie kraju w broń dużo pozostawia do życzenia; gdy na kilka dni przed wybuchem powstania wezwany zostałem do naczelnika siły zbrojnej ś.p. Z. Padlewskiego, a ten oświadczył mnie, że jako wojskowemu, powierza mi naczelne dowództwo województwa Mazowieckiego, za zaufanie podziękowałem — lecz dowództwa nieprzyjąłem, uważając wybuch za przedwczesny i nie chcąc brać na swą odpowiedzialność powierzonych memu dowództwu ludzi, sam się udałem jako prosty szeregowiec do pierwszego organizującego się oddziału w Czerskiem.

Oddział ten zebrał się w Woli prądmowskiej, majątku Bronisława Ryxa o 3 mile od Warszawy, do którego i on wstąpił. Wprawdzie pierwotny punkt zbornyznaczony został w Zalesiu majątku Br. Miniewskiego brata mego. Tam około 150 nas się zebrało d. 21. stycznia 1863., z powodu jednak otrzymanych sprzecznych wiadomości i braku pewności czy powstanie w innych miejscach wybuchło, po kilkunastogodzinnem manewro-

waniu, oddział rozpuszczony został z poleceniem, byśmy w razie potwierdzonych wiadomości, zebrali się w Woli prażmowskiej, co też w parę dni później nastąpiło — tak, że oddział nasz pod dowództwem Smiechowskiego Józefa, zebrał się już wówczas, gdyśmy mieli pewność wybuchu powstania we wszystkich częściach kraju.

Każdy z nas idących do powstania, wiedział, że idzie na chłód, głód i śmierć, bez chwały i z tą myślą się zżył, mimo to jakież to były błogie te pierwsze czasy powstania naszego! Choć częściej chłodno i głodno, ale spokój i zadowolenie wewnętrzne z wypełnionego obowiązku, bez troski o jutro, a jeszcze kiedy się udało urwać na mochu bronie, amunicji lub koni — to było wesołości i zadowolenia dostatek w obozie.

Z szeregowca pod dowództwem czcigodnego starca Józefa Smiechowskiego, przezwanego Bugrem (gdyż bugarami ogólnie nazywał swoich żołnierzy od wyrazu francuskiego bougre) w kilka dni zaraz — zdaje się po napadzie na Grójec, zostałem oficerem i oddano mi pierwszy pluton kawalerji, składający się z 10 konnych, który następnie powiększony, przeistoczony w szwadron, w bitwach przerzadzany, i uzupełniany, pozostał mi wierny, aż do przejścia granicy pod Czernichowem. Napadu na Grojec dokonało nas 16 z konnicy, Kozaków było 25 załogą w Grojcu, lecz taka ogarnęła ich panika, że oficer, o czem później dowiedzieliśmy się, schował się z kilkoma kozakami do suchej studni, reszta ukryta w domach prażyła nas z okien, a nazajutrz wszyscy uciekli z miasta. Że się to działo w noc ciemną, po dokonany alarmie, cofnęliśmy się, niewiedząc o zwycięstwie i niekorzystając z przestraszenia Kozaków.

Z tego napadu większych nieodnieśliśmy korzyści, prócz chrztu pierwszego, który nas przekonał, że kule moskiewskie, nie tak straszne, bo żaden z naszych nawet rannym nie był i że kilkunastu naszych, źle uzbrojonych, wystarczyło, by 25 Kozaków wypłoszyć, jednego uśmiercić a 3 ranić. Napadu dokonała konnica, piechota znajdowała się o dwa kilometry pod Krowowem.

Od tego dnia oddział rósł w liczbę i już pod Białobrzegami składał się przeszło z 300 ludzi. Dowiedziawszy się, że w Rawskim znajduje się oddział Jeziorańskiego, przybliżyliśmy się i z nim złączyli.

Napad na Rawę, był skutkiem połączenia się obydwu oddziałów, plan więcej skombinowany, lecz na nieszczęście niedość w tajemnicy utrzymany, bo Moskale dowiedziawszy się przez szpiega, przygotowali się, wskutek czego, zwycięstwo nasze okupione było znacznymi stratami naszymi.

[Dalszy pochód połączonych oddziałów Smiechowskiego i Jeziorańskiego trzeba przyznać, w pełni zasługiwał na uznanie. Jeziorański był głównym dowodzącym, miał szefem sztabu Tomasza Winnickiego, który posiadał ogólną sympatyę wojska i był

duszą oddziału — wywierał zbawienny wpływ na osobę Jeziorańskiego, z którym przyjaźń go łączyła, i mimo dwóch osób — wojsko czuło osobę jedną, dowódcę — sumiennego i odważnego, dbającego o żołnierza nienarządzającego go bez potrzeby — wyrozumiałego. Obadwaj też ogólnie byli lubiani i szanowani. W oddziale który powstał z dwóch, niewiadać było żadnego rozdzielenia — koleżeństwo zupełne. Bugier nasz kontent, że się pozbył odpowiedzialności i kłopotów zarządu oddziałem, jako dowódzca piechoty i kosynierów był niezrównany i mimo sędziwego wieku dawał młodszym przykład swej odwagi i energii.

W tych warunkach bratniej zgody i jedności oddział coraz więcej liczebnie wzrastał, w końcu nieróżnił się od regularnego wojska, ani subordynacją, ani porządkiem, chyba uzbrojeniem.

Bitwy staczane z Moskwą były pomyślne, bo dowódcy umieli przyjmować te, które uznawali za możliwe do przyjęcia.

Oddział manewrował po kraju z wiarą w lepszą przyszłość, lecz gdy najmniej spodziewał się złego, to czyhało blisko!

Oddział nasz stanął obozem pod Lipnicą o milę od Małagoszczy gdzie przebywał Langiewicz. Tu otrzymał Jeziorański wezwanie od Langiewicza, aby przybył do Małagoszczy na naradę wojenną celem porozumienia się.

Już wówczas jako rotmistrz 1. Szwadronu, dostałem polecenie konwojowania Jeziorańskiego wraz z kilku jego oficerami do Małagoszczy i wzięcia udziału w radzie wojennej.

Obóz Langiewicza niemiłe na nas zrobił wrażenie, które jeszcze spotęgowało się w głównej kwaterze — na widok licznego sztabu.

Na naradzie wojennej, Langiewicz żądał połączenia się oddziału Jeziorańskiego z jego sił wydania wspólnymi siłami walnej bitwy Moskwie, która trzema kolumnami na niego ciągnęła. Chodziło mu, jak się wyrażał, o efekt. Uważając za zgubne dla nas dozwoleństwo połączenia się trzech kolumn moskiewskich, jako też zgubne połączenie się nieznających i różnorodnych oddziałów, sprzeciwiłem się temu, proponując, że gdy Moskale ciągną trzema kolumnami, z których jedna z półdniowym opóźnieniem, jedna w kierunku gdzie oddział Jeziorańskiego zajmował dość silną naturalną pozycję, a o naszym tam pobycie niewiedzieli — byśmy z tą siłą rozprawili, Langiewicz może uderzyć na kolumnę drugą — trzeciej zaś wspólnymi siłami, gdy zajdzie potrzeba dany radę.

Za moim zdaniem poszli wszyscy oficerowie z oddziału Jeziorańskiego, do narady powołani i zgodzić się na połączenie z Langiewiczem nie chcieli. Dopiero gdy Langiewicz przedstawił Jeziorańskiemu jakieś polecenie R. N. zmuszające Jeziorańskiego do posłuszeństwa — ten przedstawił nam, że on słuchać musi, lecz zapewnia nas słowem, że to połączenie się oddziałów, będzie miało miejsce tylko na jutrzejszą bitwę — po czem znowu rozdział oddziałów nastąpi. Na tej naradzie wojennej znajdowali się prócz Jeziorańskiego, Tomasz Winnicki, Józef Śmiechowski,

Julian Bajer, Bolesław Świętopełki, Władysław i Józef Miniewscy, Bronisław Ryx. Ze strony Langiewicza prócz Utowskiego innych, jako nieznanych nie zapomniałem.

W skutek tej narady, której jak się okazuje, wynik z góry był przewidziany, oddział nasz, przybył nazajutrz rano do Małagoszczy i odrazu zajął pozycje w miejscach przeznaczonych przez Langiewicza. Rozmieszczeniem jednak wojska na pozycyi, zabezpieczeniem oddzielnych części oddziałów i w ogóle zastosowaniem się do miejscowości, nie zdał Langiewicz egzaminu nie tylko na głównodowodzącego oddziałem przeszło 4500 ludzi, ale nawet na oficera niższej rangi.

Główne dowództwo powierzone w ręce nieudolne, osobie, która na wielkość zachorowała, nie dziwnego, że cios śmiertelny, zadało powstaniu.

Zwycięztwo pod Małagoszczą, tak przez nasze dzienniki krakowskie przecenione, otoczyło aureolą zasługi, zdolności, poświęcenia Langiewicza, a jego imię rozgłośnie w kraju uczyniło. W rzeczywistości było klęską naszą, rozprószeniem oddziału, smutną bezładną rajteradą w najtrudniejszych warunkach. To tylko szczęściem było dla nas, że Moskałe nieprzybyli jednocześnie i nie działając w skutek tego energicznie, po bitwie pozwolili się rozpruszonym zebrać, a następnie ująć przed pościgiem.

Mimo przyrzeczenia nam danego przez Jeziorańskiego, po bitwie Małagoskiej, nie przyszło do rozłączenia się oddziałów. Obydwa poniosły znaczne straty, stosunek między dowódcami wywiązał się jakiś dziwny, Jeziorański stał się apatycznym, a w skutek tego powstały nieporozumienia i żal do naszego dowódcy, który zawiódł nasze zaufanie.

O ile stosunek w połączonych oddziałach Śmiechowskiego i Jeziorańskiego, był ściśle koleżeński i różnicy między żołnierzami nie było żadnej — to w połączonych oddziałach Jeziorańskiego i Langiewicza do końca pozostał obcy. Jedni nazwali się Langiewiczanami drudzy Jeziorańszczykami.

Goszcza, to kuźnia demoralizacyi dla naszego wojska, które zasmakowawszy w gościnności bliskiego Krakowa, nauczyło się ucieknierstwa, odebrało mu dotychczasowy hart. Tu rozpoczęły się przedwstępne kroki do później ogłoszonej dyktatury, od tego czasu rozpoczynają się smutne i gorzkie wspomnienia. Langiewicz, ażeby zaprowadzić jednolitość w oddziale połączonym, pozmieniał oficerów — przeprowadzając organizację na swój sposób, mianując nowo przybyłych oficerów w miejsce dawnych, co rozgorczyło żołnierzy i oficerów pozbawionych komend. Wskutek tego, jedni z najzdolniejszych podkomendnych z oddziału Jeziorańskiego, Julian Bajer i Bolesław Świętopełki — nie chcąc zostać pod rozkazami Langiewicza, opuścili nas pod pozorem formowania nowych oddziałów.

Po bitwie znamiennej pod Chrobrzem, po której dyktator dał dowody zupełnego niedbalstwa o wojsku — bo połowę od-

działu w nocnym marszu zgubił, a którą zaledwie nazajutrz zdołałem do obozu doprowadzić Langiewiczowi — dalej Grochowska — ta plama niczem nie zmyta, oprócz najelementarniejszej nieudolności, obojętności, jeszcze dająca pozory złej woli! Nic dziwnego, że oddział z przeszło 4500 ludzi złożony, choć po wygranej bitwie bez współudziału i wiedzy dowodzącego, zdemoralizowany jego ucieczką, znajdując się w pobliżu granicy, spragniony wypoczynku i żadny rozkoszy, których niejeden zakosztował w Goszczy — topniał, przechodząc całemi partjami granicę.

Generał Śmiechowski, zacny, odważny, lecz wiekiem umysłowo osłabiony, ulegający wpływowi ostatniego z obecnych przy nim, pozostawiony bez żadnych instrukcyi, za cały dokument swej władzy, mający od Dyktatora kartkę z notosu wyrwaną ołówkiem napisaną, w której go o złożeniu dowództwa zawiadamia i takowe jemu powierza, to dawał rozkazy, to znów za chwilę je cofał. Taki dowódzca w warunkach trudnych, w jakich znajdowaliśmy się, był do niczego, wszystkich zaś więcej wojsku znanych i obudwom oddziałom popularniejszych i wybitniejszych zabrał Langiewicz z sobą. Bentkowski, pułkownik, chciał przy oddziale pozostać i dzielić jego losy, lecz miał nakaz dyktatorowi towarzyszyć.

Brakło silnej ręki któraby ujęła rozluźnioną karność w wojsku! Nasz Bugier wahając się, coraz bardziej, to zbliżał to oddalał się od granicy, a gdy otrzymał zawiadomienie od komisarza R. N. z Krakowa, że pod Czernichowem znajduje się kilkadziesiąt ludzi ze znacznym zapasem broni i amunicyi — stanowczo skierował się tam.

Przybywszy pod Czernichów zastaliśmy kilkadziesiąt (65) ludzi których najstarszy mój brat, Władysław, przyprowadził, lecz bez broni i amunicyi. Moskale którzy mieli czas przez te dni kilka zebrać znaczne posiłki — nadciągnęli. Nasze wojsko tak już było zdemoralizowane, że w miejscu gdzie pikieta była postawiona, znajdowaliśmy broń, lecz żołnierza niebyło. Z kawalerii pozostał tylko mój pierwotny szwadron, bo konnica całemi szwadronami, za przykładem wodzów przechodziła granicę.

Po naradzie wojennej, widząc niemożność stoczenia skutecznej bitwy i przedarcia się w głąb krolestwa, bo chociaż oddział liczył przeszło 2500 ludzi, lecz bez amunicyi — postanowiono broń na stronie Galicyi zakopać, wkroczywszy tam z całym oddziałem.

Jakie jednak Moskale musieli mieć wyobrażenie o naszej sile po bitwie Grochowskiej, dość przytoczyć fakt że przejścia granicę całego rozprósnionego oddziału, osłaniałem jedynym szwadronem 1-szym kawalerii — który przy mnie pozostał z dwóch pułków tak z oddziału Jeziorańskiego jak Langiewicza.

Była to resztką wiarusów z kawalerii, całej kampanii wraz ze mną odbytej, która przy życiu pozostała, wyszedłszy

z Woli prążmowskiej pod Warszawą. Ta garstka wystarczyła do powstrzymania 4 batalionów piechoty i 4 sotni kozaków, mających dragonów, artylerję i piechotę w znacznej ilości w rezerwie za lasem.

Dokąd staliśmy na pozycyi, na wzgórzu dominującym, Moskale tylko gradem kul nas zasypywali — lecz atakować nieśmieli, widocznie spodziewali się za górą znaczniejszych sił naszych — których niestety nie było, te już, o parę kilometrów były za granicą i dopiero gdy widziałem, że oddział bezpieczny już za granicą Galicyi, zakomenderowałem odwrót. Wówczas kozunie i piechota za nami truchtem ustępującymi — ruszyły.

[Wojsko pograniczne austriackie chciało nas rozbroić, gdy jednakże mimo dawnych sygnałów ze strony austriackiej, Moskale strzelania i ataku nie zaprzestali, wojsko pograniczne austriackie rozsypało się w tyraliery wzdłuż granicy — a strzałami celnymi powstrzymali wkroczenie kolumn moskiewskich. Ilu Moskwa straciła łód kul austriackich podać niemożę, poszli oni na nasz rachunek, zapewniam jednak, że austriaccy żołnierze celnie i skutecznie strzelali, ukryci w rowie granicznym — gdy zdołali powstrzymać kolumny piechoty i kozaków nas ścigających. Zaraz po pierwszej salwie, w kolumnach moskiewskich zamęt był widoczny, a po godzinie, zaprzestali ataku, splondrowawszy i spaliwszy kilka wsi nadgranicznych. Ze strony austriackiej było trzech zabitych i kilku rannych. Poległych z wielką okazałością pochowano w Krakowie przy współudziale manifestacyjnie licznej publiczności.

Oddział nasz po złożeniu reszty niezakopanej broni, austriackiej władzy granicznej, udał się na Baran, a stąd w asystencyi wojskowej do Krakowa — gdzie rozmieszczony został po różnych gmachach — z kąd prostych szeregowców z łatwością na odpowiedzialność miejscowych obywateli wydawano — trudniej jednak było oficerom i wybitniejszym stanowiskom zajmującym w oddziale osobistościom.

Złączenie się dwóch największych w kraju oddziałów Langiewicza i Jeziorańskiego — a następnie dyktatura, zadały śmiertelną ranę powstaniu. Do Langiewicza niemożna mieć pretensyi, była to osobistość bardzo miernych zdolności, pojęcia wojskowego prawie żadnego. Pozbawiony zmysłu orientacyjnego, brak stanowczości zupełny, nieumiejący wykorzystać, ani z chwili, ani miejscowości. Nic więc dziwnego, że umysł słaby, do reszty się zamaścił, otrzymawszy naczelne dowództwo, a następnie dyktaturę. Zły duch napoił go dumą, zarozumiałością i malutki Langiewicz poczuł się pomazańcem Bożym — trzymającym losy kraju w swem ręku, uznał, że jego osoba reprezentując sprawę Polski nie może być na niebezpieczeństwo wojny narażoną, lecz z ukrycia, po za teatrem wojny, wydawać rozkazy i rozporządzenia. Niespodziewając się, jaki obrót weźmie bitwa pod Grochowskimi, lecz sądząc z wielkiej liczby Moskali na nas idących, że może być

złe, uznał za stosowne pozostawić wojsko na los szczęścia, sam zaś ze sztabem (bo jakżeby wyglądał dyktator bez sztabu) salwować swą namaszczoną osobę, a że dotąd jakoś w Galicyi przez szpary rząd patrzył na przedzierających się powstańców, więc w nadziei, że i jemu się uda ująć za tryumfatora, podążył do swoich wyborców. Poznany jednak, smotnie dostał się do więzienia! Wobec wojska jestto ciężkie przewinienie, jednak nie potępiam samego Langiewicza, gdyż nawet on niebył zdolny zdać sobie sprawy z tego co uczynił. Nie on zatem winien odpowiadać przed potomnością za rezultat zmarnowanych sił, zawiedzionych nadziei, ale ci, co go za narzędzie użyli.

Ludzi na dowódców z poświęceniem i zdolnościami odpowiedniami mieliśmy — lecz ręki do kierowania brakowało. Nadzieję pokładaliśmy w Łokietku (Jarosławie Dąbrowskim), który został niestety przed wybuchem powstania uwięziony. Gdy uciekł z Syberyi było już za późno, bo powstanie upadło. Dziś nie żyje, zginął marnie dla kraju, walcząc w sprawie wiarołomnej Francyi, obarczony zarzutem że walczył na czele komuny.

W rzeczywistości nie splamił się, bo nie przyjął ofiarowanych mu kroci tysięcy za odstąpienie, raczej zginać wołał.

O żadne egoistyczne zamiary w przyjęciu przez niego naczelnego dowództwa, obrony Paryża, nie posądzam go, widać spodziewał się na tej drodze dojść do władzy i w ten sposób stać się pomocnym sprawie Ojczyzny. Była to osobistość wielkich i rzadkich zdolności, energii, poświęcenia, wielkiego patriotyzmu i serca. Trzeba go było bliżej znać, by ocenić jego genialność. Strata nieodżałowana żeśmy go nie mieli w czasie powstania. Ten jeden mógł nadać odpowiedni kierunek naszej sprawie — równej mu osobistości nie znam.

Poczuwam się do obowiązku wspomnieć w tem miejscu o byłym pułkowniku wojsk szwedzkich, a pułkowniku kawalerii naszej Józefie Czapskim, z którym wprowadzie nawet bliższa znajomość mnie nie łączyła — sumienie jednak nakazuje stanąć w jego obronie.

Spotkał go zarzut, rozsiewany przez sztab i Langiewicza, że on uciekł z pola bitwy pod Grochowiskami i wraz z całą kawalerią przeszedł granicę. Jestto potwarz rzuczona niegodnie, dotycząca właśnie tych, co ją wymyślili.

Bliższych szczegółów z przeszłości Józefa Czapskiego nie znam (nie należy łączyć tego nazwiska z nazwiskiem Kazimierza hr. Czapskiego, rotmistrza w kawalerii, następnie podpułkownika w oddziale Mazowieckim). Pułkownik Józef późno przybył do obozu Langiewicza, bo po Goszczy, a od czasu jego nominacyi na dowódcę całej kawalerii tj dwóch pułków, ustawicznie będąc na rekonensansach i podjazdach niewidziałem swego zwierzchnika i dopiero pierwszy raz zobaczyłem go na czele kawalerii, podczas bitwy Grochowiskiej.

Otóż, skoro tylko Moskale zaatakowali nasz obóz, w co

Langiewicz nawet po pierwszych ich strzałach wierzyć nie chciał, otrzymał Czapski polecenie stanąć z całą kawalerią, rezerwami, furgonami i całym taborem obozowym, na łące grząskiej, ciągnącej się pomiędzy dwoma wzgórzami zarośniętymi krzakami i drzewami. Łąka ta miała około 500 kroków szerokości, długo przeszło 2000. Wzgórza równoległe, jak i pagórek od zachodu winny były być naszym wojskiem zajęte, wówczas nasze stanowisko rację bytu tam miało. Tymczasem w skutek niedbalstwa, pozwolono, że Moskale zajęli te pozycje, skąd nasze wojska nie mogły ich wyprzeć, mimo że z wielkimi stratami ustawicznie kosynierów i strzelców wysyłano. Kawaleria nie mogła być użyta — gdyż zajęte pozycje przez Moskali ochraniały krzaki. Otóż, w tej to kotlinie wśród krzyżowego z trzech stron ognia sztuczerowego i kartaczowego, polecone miał Czapski, stać z tą masą ludzi, koni, wozów i czekać dalszych rozkazów.

Gdy ta nasza bezczynność i bezcelowe wybijanie nas, zbyt się już przeciągła (przeszło 2 godziny), niemogąc odgadnąć dla czego stoimy na tak zagrożonem miejscu z trzech stron otoczeni Moskwą, bezczynnie, za cel im służąc — przedstawiłem się pułkownikowi Czapskiemu, zapytując go o to. Odrzekł, że ma tu stać i czekać dalszych rozkazów.

Widocznie pułkownik miał dobre wyobrażenie i niewiedział, że podczas bitwy, każdy dowodzący pod Langiewiczem powinien o bezpieczeństwie swoich myśleć. Gdy mu na to zwróciłem uwagę, a Czapski nie dał się nakłonić do wyprowadzenia wojska z tego miejsca, wróciłem na czoło swego szwadronu. Po pewnym jednak upływie czasu, gdy wojsko na dobre szemrać i złorzeczyć zaczęło, a ofiary zaścielały łąkę, przybyłem do niego powtórnie, żądając stanowczo, by nas z tam wyprowadził, zapewniając go, że żadnych rozkazów mieć nie będzie, bo nawet niewiadomo gdzie dyktator ze sztabem się znajduje, gdyż adjutanci jego znaleźć go nie mogli i ginęli od kul podczas poszukiwań. Władysław Zwan, adjutant Langiewicza, leżał zabity obok mego szwadronu. Wówczas odezwał się do mnie Czapski, że jeżeli biorę odpowiedzialność na siebie, mogę prowadzić. Bez wahania uskuteczniłem to, wyprowadzając zmieszane różne bronie z łąki, przez co dałem możliwość zebrania się naszemu wojsku, które z flanków dopiero uderzyło ku wieczorowi na Moskali, nie mając żadnych rozkazów od naczelnego wodza. Uderzyliśmy na Moskali z boków i wyparłszy ze stanowisk, rozbili ich do szczeru, biorąc liczne niewolniki.

Rochebrune, Śmiechowski, Komorowski, Dąbrowski, Lesiński, Grudziński, Pióro, Leniecki, Niewiadomski, Nowak, Drzewiecki, Koskowski Wł., młody Czapski i inni byli bohaterami tego pamiętnego dnia.

Ale wracam do osoby pułkownika Czapskiego. Ten jak tylko wyprowadziłem całą tę zmieszaną rzeszę z bagna na bezpieczne miejsce, po za linię ognia moskiewskiego, uważając nie

dość pewną tę pozycję, a nieznając okolicy, zażądał odemnie dwóch kawalerzystów, na których waleczności mógłby polegać, a to w celu odszukania sztabu i zwiedzenia miejscowości. Dałem mu wachmistrza Józefa Wilskiego, wypróbowanego rezoluta, który w moim szwadronie zostawał od początku powstania i Kubickiego dzielnego szeregowca, kolonistę z Rawskiego. Z tymi dwoma, nie z całą kawalerją, wyjechał Czapski w najlepszej intencji, lecz nie wrócił już do nas. Podobno został odciętym przez Moskali. Zarzut mu zaocznie czynił później dyktator, który chciał się oczyścić, czerniąc wojsko i podkomendnych, że z kawalerją uciekł z placu boju. Wojsko miało jeszcze dobrego ducha i dało tego dowody, głównodowodzący był przyczyną złego! Stojąc dwie godziny w morderczym ogniu, Czapski dał dowody odwagi i posłuszeństwa, lecz jest „modus in rebus“.

Gdyby dyktator dał najmniejsze dowody, że działa z pewnym planem i że zagłada $\frac{3}{4}$ oddziału prawie, była potrzebna dla przyszłości sprawy, z pewnością znajdujący się tam nie żalowałoby swego życia, bo na to poszli do powstania. Lecz dla niedołęжности, dla niedbalstwa o poruczone mu wojsko (dopiero co w marszu po bitwie pod Chrobrzem zgubił połowę oddziału, którą nazajutrz doprowadziłem), dozwolić, by tysiące ludzi wyginęły bez potrzeby, było wprost zbrodnią. Człowiek, który to widział i mógł złemu zaradzić byłby zbrodniarzem, gdyby się trzymał listery przepisu, nie obowiązku.

Że fałszywe było tłumaczenie Langiewicza, że opuścił wojsko, bo widział demoralizację i upadek ducha, tego najlepiej samo wojsko dowiodło, bijąc Moskali jak nigdy, bez współudziału Langiewicza. Kwestyi nie ulega, że gdyby Langiewicz sam dalej kombinował plany bitwy, byłibyśmy do nogi wyginęli, gdyż na to zaraz z początku się zaniósł, jedynie szczęśliwy zbieg okoliczności, który się następnie wywiązał, zapewnił zwycięstwo, łatwe do odniesienia, gdyby wódz był przezorny, bystry i niezarozumiały.

Pozycja na której znajdował się oddział była dobra, lecz trzeba ją było wyzyskać i odpowiednio zająć, nie pozwolić Moskalom zajęcia najważniejszych punktów i dopiero chcieć później je zdobywać.

Gdy wróciłem z rekonesansu, na który wysłany byłem z całym szwadronem pod Busk, widząc, że polecenia nie wykonam, gdyż szwadron stanowi przedmiot zanadto widoczny, pozostawiłem go w ukryciu, a tylko z moim nieodstępny w wyprawach na „stracone“ wówczas jeszcze porucznikiem K. hr. Czapskim zrekonoskowałem obóz moskiewski. Składając raport pułk. Bentkowskiemu szefowi sztabu Langiewicza tak, że dyktator słyszał wszystko, przedstawiłem, że Busk zajęty przez Moskali znajduje się o 3 wiorsty m. w. od nas, że wkrótce Moskale uderzą, bo się już zaczynają do pochodu gotować. Że prócz artylerji piechoty i kilku szwadronów dragonów, na lewem przedłużeniu

lasu, w którym się znajdujemy, postawiony szwadron dragonów dla obserwacji, zaś na prawem skrajnie kozaków. Zatem wypadło by wysłać 200 żuawów w awangardzie wystrzelać z lasu dragonów i uderzyć z tyłu na Moskali, lub natychmiastowo pozycję obsadzić naszym wojskiem.

Na przestrzeni rozdzielającej nas od Buska znajdował się pagórek zarosnięty krzakami na strzał karabinowy od nas, okolony wąską łąką, na której nas potem ustawiono. Otóż zauważyłem, że teralierzy nasi zamiast zająć kraj krzaków od strony nieprzyjaciela, rozstawieni od naszej strony, tak że nieprzyjaciel niewidziany przez nich, zajmie pagórek, ustawi działa i nic mu nie poradzimy.

Langiewicz obruszył się, że nie mają rzeczą krytykować i dawać rady, że wszystko jest dobrze, bo on tak rozkazał. Nadto rozkazał mi konie rozsiedlać.

Wiedząc na co się zanosi, nie tylko niekazałem rozsiedlać koni, ale zaleciłem opatrzyć czy wszystko jest w porządku i konie z ręki żywić. Dobrze na tem wyszedłem, bo nieupłynęło pół godziny, w nieładzie w cwał, wpada do obozu naszego, wysłany w stronę przeciwną na rekonesans ku Bogucicom, rotmistrz Nowak, a za nim kozacy prążący z janczarek.

Było to hasłem dla Moskali! prawie jednocześnie z drugiej strony tj. od Buska wypadła Moskwa z armatami co koń wyskoczy, zajęli pagórek dominujący, o którym wyżej powiedziałem, a niezajęty przez nas, bo tyralierzy nie zostali zmienieni — ustawili działa i rozpoczęli muzykę! nasze zaś oddziały, dopiero pod ogniem formować się musiały w zamieszaniu i popłochu. Wysyłano to kosynierów to strzelców na zdobycie dział, lecz bez skutku, bo ogień był zbyt silny, zmiatał naszych jak kosą w połowie drogi. Strzelcy wysłani do zajęcia wzgórza od Bogucic — nad bagnistą łąką się ciągnących — nie doszli do połowy, a te już przez Moskwę obsadzone zostały. Tak w jednej prawie chwili oddział został z trzech stron otoczony choć mógł albo wycofać się, albo zawczasu zająć najważniejsze punkta.

Kawalerji, rezerwie, furgonom w wielkiej liczbie, całej służbie obozowej, kazano stać parę godzin bezczynnie i czekać rozkazów, pod krzyżowym ogniem kartaczowym i sztuczerowym, o czem w popłochu prawdopodobnie zapomniano, lub też myśląc o swem bezpieczeństwie, pozostawiono na zagładę tę masę parotysięczną.

Do dziś dnia pojąć nie mogę, jaka w tem była taktyka! jeżeli rzeczywiście była! bo nie posądzam o zdradę!

Bezstronny osądzi, czy w wypadkach podobnych osoba która ratuje od zagłady tyle wojska, zasługuje na potępienie, czy na uznanie? Czapski tylko i bliżej znajdujących się kilku szeregowców, mogli widzieć kto wyprowadził z tego miejsca oddział, oceniając go. Tego zatem głównie do odpowiedzialności należało by pociągnąć, gdyby na nią zasłużył.



Dyktator niemogąc się inaczej tłumaczyć, zwałił całą winę na Czapskiego —zarzucając mu, że on z pola bitwy uciekł z kawaleryą, to jednak jest potwarz, bo Czapski w bitwie właściwie niebył, lecz posłuszny rozkazowi stał biernie z oddziałem i dał się mordować, niedając po sobie poznać, by go świst kul drażnił, oczekiwał zapowiedzianych rozkazów. Gdy jednak te nie nadeszły, a o dyktatorze i o sztabie jego, z nikąd wiadomości nie mógł zasięgnąć, obowiązkiem jego było myśleć o uratowaniu jemu powierzonego wojska, rozeszła się bowiem nawet pogłoska, że dyktator wraz ze sztabem całym, zagarnięty został przez Moskali.



ROZDZIAŁ II.

WYPRAWA KRAKOWSKA. ODDZIAŁ MAZOWIECKI.



ostatni przeszedłszy granicę pod Czernichowem, nie dałem się zabrać z całym oddziałem, konwojowanym przez wojsko Austryackie, na Baran, do Krakowa, tylko wraz z dwoma towarzyszami, powierzwszy bratu memu Władysławowi swego dość kosztownego konia, a dla jego bezpieczeństwa, dając mu swój paszport wyrobiony zagranicę, udałem się do najbliższego dworu, a przemocowawszy w stodole, nazajutrz odwiezieni zostaliśmy do Krakowa szczęśliwie, nie dostawszy się w ręce austryackie. Brata niewybawił mój paszport, ani moja klacz nieocalała — dostał się do niewoli i zamknięty w reitszuli pod Kapucynami z wielką trudnością wykradziony został, a klacz zabrana — przepadła.

Zaraz po przybyciu do Krakowa, mianowany zostałem członkiem komisji reorganizacyjnej z 5 składającej się, której zadaniem było, organizować oddziały z rozbitków w Galicyi się znajdujących i wyprawiać do Królestwa, celem zasilania powstania wewnątrz kraju.

Niedługo jednak zasiadałem w komisji, na żądanie bowiem grona oficerów z oddziału Jeziorańskiego i częściowo Langiewicza, przyjęcia dowództwa oddziału, wezwany zostałem przez R. N. do Warszawy, aby zdać relację z ostatnich czasów wyprawy Langiewicza. Tam otrzymałem odpowiednie polecenia i nominację na dowódcę korpusu Mazowieckiego.

Za zadanie, wziąłem sobie, zająć granicę Maczki, do czego na miejscu wszystko przygotowałem. Z Maczek pociągłem miałem dostać się w głąb Królestwa. Plan ten ryzykowny, był jednak jedyny, by z Galicyi przedrzeć się przez trzy linie strategiczne, operacyjne, moskiewskie nad granicą Galicyi rozciągnięte i zasilić powstanie wewnątrz kraju, dostarczeniem broni i amunicyi. Plan ten jednak wymagał wielkiej akuratności w wykonaniu, dokładności i sumienności dostawców, których zła wola i chciwość udaremniła.

Przybywszy z Warszawy do Krakowa zająłem się niezwłocznie formowaniem kadrów korpusu, pierwszeństwo dając ofi-

cerom znanym mnie z poprzedniej kampanii Jeziorańskiego i Langiewicza, którzy spowodowali żem dowództwo przyjął — jak Stanisław Lesiński, Kazimierz Grudziński, Kazimierz Czapski, Borys Czosnowski, Henryk Szmidt, wszyscy znani, po Rochebrunnie, w ich liczbie Alfons Didier, Giżyński, Listopad, Julian Pikusiński, Antoni Wójcicki i inni. W liczbie przedstawionych mi obcych był pułkownik szef sztabu Garybaldego Franciszek Nullo, kapitan Pizzafieri i kilku innych Włochów, oraz Ignacy Żelechowski oficer pruskiej artylerji — któremu poruczyłem dowództwo nad zawiązkiem artylerji. Właściciel fabryki żelaznej i odlewni w Krakowie p. Z. sprzedał mi dwa działa kute gwintowe, będące już na ukończeniu, które mi pokazał na tokarni, zobowiązując się na termin wykończyć i odstawić do punktu zboru. Zgodziłem je za 5000 zhr. dając zadatku 2000 zhr. a p. Ignacemu Żelechowskiemu poruczyłem przygotowanie niezbędnych naboji dla tych dwóch dział. P. Ignacy Żelechowski wykonał polecenie najskrupulatniej jeszcze przed ukończeniem armat.

Fabrykant jednak działa mi sprzedane, powtórnie sprzedał Mierosławskiemu, a gdy dodam, że te działa jeszcze przed upadkiem Langiewicza, dla jego oddziału przez Lewkowicza, komisarza R. N. były obstalowane, więc te same działa trzykrotnie zostały sprzedane.

Mierosławski jak tylko zostały ukończone, natychmiast je odebrał, ja zaś, gdy przybyłem obejrzeć działa w oznaczonym czasie, dowiedziałem się od p. fabrykanta, że Mierosławski gwałtem je zabrał; błagał mnie o przebaczenie za zawód, ofiarując się na czas potrzebne mi 2 armaty wykonać tegoż kalibru, z tą różnicą tylko, że będą łane gładkie, bo kutych gwintowanych nie zdąży dostarczyć.

Niemając innego wyboru, zgodziłem się na tę propozycję. Lecz i w tym względzie ławodu zupełnego doznałem. Oddział czekał na dostawę armat na punkcie zbioru późno w nocy, a nie mogąc się doczekać musiał wyruszyć z lasów Tenczyńskich. W marszu ku granicy doszła mnie wiadomość, że armaty są już w drodze, lecz wozy wiozące je, ugrzęzły o milę. Nie mogąc się zatrzymywać, bo jak mnie komisarz Noworytko zapewnił, wojska austriackie, wysłano celem zagarnięcia mego oddziału, na solenne więc zapewnienie hr. Adama Potockiego, który jako grzeszny gospodarz odwiedził mnie w swych lasach, że mogę polegać na jego słowie i że armaty będę miał odstawione do obozu w Królestwie polskim, bez względu gdzie się znajdować będę, ku granicy ruszyłem. Później jednak dowiedziałem się, że gdy wzięto się do składania, okazało się, że zamiast łuf armatnich, wysłane były pompy łane żelazne z nieodpiłowanym nawet łanem ramieniem do przymocowania łrąga, bez zapalów, tak, że nawet fabryka miała by kilka dni roboty, by złożyć z tych niedopasowanych części składowych armatę do użytku zdolną. Według umowy miało wszystko być tak dopasowane — by prosty ślu-

sarz we dwie godziny złożyć je mógł. P. Noworytko nadleśniczy hr. Potockiego i zarazem komisarz nadgraniczny R. N. któremu dostawę armat do obozu w Król. polskiem hr. Połocki polecił, innej rady niewidział jak części żelazne, jako niezdatne zakopać, a lawety i koła zabrać do siebie.

Mianowany na dowódcę artylerji pan Ignacy Żelechowski, stanął w szeregach walczących jako prosty szeregowiec.

Nietylko artylerję spotkał zawód ze złej woli pochodzący. Kawalerya również smutnemu uległa losowi. Tej chciałem mieć tylko ilość niezbędną do obsługi obozowej, tj. 40 koni a dokompletować w Królestwie. Koni mnie jednak niedostawiono, bo obywatel u którego były umieszczone uznał, że mu do uprawy pola się przydadzą i przyswoił je sobie. Kawalerya moja maszerowała z siodłami na plecach, w nadziei, że konie nadejdą. Z taką jednak, rekonensansu ani podjazdu wykonać było niemożliwem. Prywatne konie oficerów, użyć musiałem do wozów z amunicją, swego zaś później oddać pod pakę z apteką polową.

Na kilka dni przed wyjściem oddziału, zapytany przez komisarza R. N. p. Elżanowskiego, których oficerów będę najpilniej i najwpierw potrzebował do organizacyi oddziału na punkcie zbioru, dałem mu listę, prosząc by mnie przedewszystkiem tych najpierw dostawiono. Oficerowie otrzymali bardzo przyjemną kwartę w Śmierdzącej u pięknej właścicielki, bardzo chętnej powstańcom, lecz ponieważ zapomniał o nich komisarz — dostawiono ich dopiero na drugi dzień do oddziału, gdy ten już granicę przeszedł, podczas drugiej bitwy z Moskwą. Wskutek tego, oddziałowi złożonemu z około 800 ludzi, brakło niezbędnych oficerów, którzyby zajęli się wydobyciem zakopanej broni, amunicyi, a świeżo zaciężnych obznajomili z użyciem broni. Przybyły ze mną pułkownik Nullo, mianowany przezemnie szefem sztabu, dla jego sławy nabytej u Garibaldiiego, nie mógł mi w niczem być pomocnym, z powodu nieznanomości języka i stosunków miejscowych, porozumiewał się więc tylko z legją zagraniczną — której powierzyłem mu komendę, liczącą do 30 ludzi, bardzo może dzielnych, lecz w innych warunkach, gdzie chłodem, głodem i niewywczasem przymierać nie było trzeba.

Doświadczony pojmie, co była za praca dla jednego człowieka -- prawie bez żadnej pomocy pozostawionego, gdy ten zmuszony był w 10 godzinach oddział z 800 ludzi przeszedł, zaopatrzyć w broń i amunicję — które z ziemi wykopać należało, umundurować i mniej więcej zaprowadzić jakąś organizacyą. Otóż taki to oddział, party przez pp. komisarzy, aby jak najprędzej przekroczył granicę, by przez wojska austriackie nie został zagarnięty, mimo moich prośb — by choć jeden dzień jeszcze, w lasach pozostać było można, zmusili przejść granicę.

Przy rozdaniu amunicyi okazało się że pistonów tylko kilka tysięcy znalazło się w pakunkach (4000), więc i te miałem dopiero za granicą otrzymać.

Mimo tych tak ważnych, braków, oddział uznany został za najlepiej uzbrojony i z taką opinią i rozgłosem dziennikarskim przeszedł granicę przed świtem 4. Maja 1863 r.

W lasach Olkuskich postanowiłem rozłożyć obóz i czekać na dostawę wyżej wymienionych braków, jako też furgonu, który wraz z całym zaprzęgiem, zginął w drodze do obozu. Zaraz jednak po przejściu granicy, napadnięci zostaliśmy przez patrol kozacki, któremu choć daliśmy przykładną odpawę, lecz niewidząc się bezpiecznym na zajmowanej pozycji, w razie silniejszego natarcia Moskwy, pociągnąłem dalej, a znalazłszy dogodną miejscowość, rozłożyłem obóz tak, by od razu był gotów do odpornej walki. Grandgardę złożoną ze 150 ludzi pozostawiłem na dawnym obozowisku, aby posiłki przybywające nam z Galicyi, mogła dalej przesyłać i zabezpieczyć.

Moskale spodziewając się nas znaleźć na dawnym miejscu, zaatakowali grangardę — która stosownie do instrukcyi, cofała się ku pozycji zajmowanej przez oddział, otrzymawszy posiłki uderzyła na moskwę, idąc na bagnety i wyparła ze stanowisk, gdy jednak moskwie przybyła pomoc uderzyli znowu na nas i rozpoczęli atak regularny.

Przebieg bitwy był taki, że po kilkogodzinnej walce, w której nasz młody żołnierz kilkakroć szedł na bagnety, Moskale z placu boju ustąpili, unosząc swych zabitych i rannych.

Naszych padło wraz z rannymi kilkunastu, odstawieni zostali do Galicyi. Między ciężko rannymi znajdowali się hr. Stanisław Załuski i Gostkowski syn obywatela z pod Wadowie — obydwu za waleczność mianowałem oficerami.

Dopiero po tej bitwie, zapomniani oficerowie przybyli do obozu, ale ani armaty, ani konie ani furgon, ani najważniejsze, amunicya i pistony nie nadeszły — przeciwnie — jedna kompania pod komendą kapitana Wierzbickiego, wysłana na rekonesans ku granicy, czy z tej strony brakujące mnie rzeczy nienadchodzą z powodu fałszywych wieści, że odcięta została przez Moskali, wróciła do Galicyi, mimo prośb i zaklęć komisarza nadgranicznego, nie powróciła do oddziału.

W skutek tych braków, niemogąc zaraz po przejściu granicy zająć Maczek, a zmuszony i bitwę przyjąć, plan zajęcia ich i udania się pociągiem w głąb kraju stał się niewykonalnym. Nie było innej rady, jak tylko przedzierać się lasami w głąb kraju.

Z wielkimi trudnościami i przeszkodami, z braku wszystkiego, z drużyną bardzo zmęczoną, lecz dobrego ducha jeszcze po wygranej bitwie, doszliśmy do lasów około folwarku Krzykawka, pod Sławkowem, a znalazłszy dość silną obronną naturalną pozycją, rozłożyłem obóz, chcąc wojsku dać parę godzin wypoczynku i nakarmić.

Dwór prócz fury kartofli i trochę surowej kaszy, nie nam dostarczyć nie mógł.

Zaledwie jednak poszczególne części oddziału zajęły swe miejsca i ogień rozniecono, dojrzałem przez lunetę, z mgły porannej wyrastające z horyzontu bataliony piechoty i szwadrony kawalerji. Moskale zatrzymali się w oodległości gołem zaledwie okiem dojrzanej i wysłali przeciw nam tylko dwa bataliony piechoty, które znalazłszy opór na prawem skrzydle naszym i odparte strzelcami dowodzonemi przez Kazimierza hr. Czapskiego, zajęły niskie krzaki przed naszym frontem i z tamtąd rozpoczęły prawidłowy ogień. Pozyceya przez nas zajmowana, była o tyle korzystną, że nasz żołnierz znajdując się za okopem, mógł spokojnie i celnie strzelać nie będąc odkrytym, gdy przeciwnie małe krzaki nie zakrywały zgola moskali, ani też doły, które na prędce pod naszym ogniem wykopywali.

Pułkownikowi Nullo pozostawiłem komendę środka frontu, sam zaś obawiając się napadu na lewem znajdowałem się. Po dwugodzinnej strzelaninie, Nullo chcąc zakończyć bitwę, wyskoczył na wał, na koniu, komenderując na bagnety! Co dostrzegłszy w tej chwili nakazałem odwrót, (uważając atak za szkodliwy) jednocześnie koń jego dostaje postrzał, wali się, żołnierze rzucają się ratować Nulla, gdy celny strzał trafia w samo serce walecznego Włocha i zabija go. „Sono morte“ były jedynie ostatnie słowa zasłużonego obrońcy wolności ludów. Była to osobistość po Garibaldi najpopularniejsza we Włoszech. Komendy Nulla na bagnety nie mogłem aprobować z powodu, że tyralierów moskiewskich od naszej linii, dzieliła odkryta przestrzeń około 250 kroków którą nasi przejść by musieli pod ogniem moskiewskim, a że tyralierzy nie czekali by z pewnością natarcia naszych na białą broń — mając przewagę 250 kroków, ustępując przed atakiem — zbliżaliby się do swych rezerw kilkakroć silniejszych od całej siły naszej — która opróżniając zajęte stanowisko pod lasem — dozwalała części rezerw moskiewskich zajęcia takowych, zabrania nam tyłów i otoczenia całego oddziału.

Nierozważna komenda Nulli, wynikła z powodu gorącego jego usposobienia, krótkiego wzroku, a wskutek czego niewidział rezerw ustawionych — przepuszczał, że mamy do czynienia tylko z moskwą przed naszym frontem się znajdującą.

Prawie równocześnie zginął i śp. Ignacy Żelechowski, trafiony kulą w oko, a przy nim jeden z szeregowców do artylerji przeznaczony Władysław Romer.

Dziwnym zbiegiem okoliczności kapitanowi Julianowi Pikusińskiemu, kula sztucerowa ucięła w poprzednim dniu, w bitwie w lasach Olkuskich końce dwóch palców u lewej ręki, którą miał odpowiednio zabandażowaną. Znajdując się w pobliżu Nulla, gdy spostrzegł, że koń trafiony pada, skoczył wraz z innymi ratować go i biorąc prawą ręką za szyję Nulla, lewą ranną pomagał sobie przytrzymywać generała, gdy kula sztucerowa, obcina dalej mu te ranne dwa palce i ta sama, zabija na miejscu wa-

lecznego Włocha. W chwili gdy to piszę kolega Pikusiński żyje i może zaświadczyć prawdziwość faktu.

Nie długo bitwa już trwała bo posłana z lewego skrzydła kompania strzelców prowadzona przez Alfreda Bogusza — gdy zasła Moskałom od ich prawego skrzydła niepostrzeżenie — załedwie się z lasu wychyliła i dała ognia — Moskale broń, tor-mistry rzucili, uciekając do swoich rezerw.

Bitwa skończyła się, mieliśmy trzech zabitych i kilku ran-nych, Moskali leżała moc. Jak później mnie mówiono, nazajutrz 60. wozów trupów swoich przewieźli Moskale do Olkusza. Broni z pobojowiska naznoszono stosy. Bitwa niby wygrana lecz jaki rezultat?! Niedochodząc do Krzykawki, udało się mnie zarekwir-ować i nając parę chłopskich koni, jakie wóz z bronią i amu-nicyą lepiej ciągly od wierchowców oficerów, które niechcąc ciągnąć, ustawicznie pochód utrudniały i wstrzymywały. Gdy jed-nak chłop przed bitwą zobaczył Moskali, tak nagle wozem skre-cił do rowu, że nie tylko wywrócił, ale i połamał, sam zaś z koń-mi uciekł.

Obserwując Moskali po bitwie dostrzegłem, że ci, tylko małą rezerwę pozostawiają za chałupami wiejskimi, w wielkiej odległości naprzeciw naszego frontu, a liczniejsze wojska odłącza, ją na lewo, ażeby nam tyły zająć — o których ubezpieczeniu mowy być nie mogło.

Nie było zatem innej rady, jak tylko najspieszniej ciągnąć dalej, by nam drogi nie zastąpili. Broni nie tylko na Moskałach zdobytej, ale i tej którąśmy z sobą wieźli zabrać niebyło można, więc trzeba było ją zakopać i pochować naszych zabitych. Po skutecznieniu tego pozbawiony przewodnika, który także w cza-sie bitwy uciekł, orientując się mapą, wyprowadziłem oddział na przeciwną stronę lasu. Mimo głodu i wyczerpania ochota w wojsku była — a chociaż Moskale dognawszy nas, na odkry-tem miejscu, zaczęli prażyć z lasu, oddział w największym po-rządku w szyku bojowym ustępował i tylko aryergarda odstrze-liwała się. Dopiero bagniste brzegi Przemszy, nad które nasz oddział nadszedł, przyczyniły się do upadku.

Aryergardę składała kompania Żuawów i legia zagraniczna. Ostatnia już do brzegów Przemszy nie doszła — ponieważ chcąc oddać ostatnią posługę swemu generałowi, pozostali w tyle, wsku-tek tego, jak również i dla tego, że na ich waleczność więcej rachowałem przeznaczyłem ich do aryergardy.

O ile mnie wiadomość doszła, generał Szachowski, główno-komendurujący w Olkuszu i tą bitwą, natknął się, przypadkowo będąc tylko z dwoma kozakami, na pozostałych w tyle Włochów, ci zamiast korzystać z chwili i wziąć Szachowskiego do niewoli, sami mu się poddali.

Być może że to ich apatyczne usposobienia ztąd pocho-dziło, że po śmierci śp. Nulla, żądali odemnie, bym ich konwojował

do granicy, utrzymując, że skoro ich dowódzca zginął — oni nie mają tu co robić. Rozumie się, że w tych warunkach będąc, zgodzić się na ich żądanie niemogłem. Ażeby zaś ich ułagodzić, zaraz na pobojowisku najstarszego z ich oficerów rangą, mianowałem dowódcą legii, a nawet i generałem, której to rangi miał używać poległy ich wódz we Włoszech.

Otóż gdy oddział zbliżał się do brzegów Przemszy, już wojska w porządku utrzymać było niepodobieństwem. Wiara skakała i rzucała się z wysokich brzegów w dół, aby się ukryć przed ogniem Moskali, który rzeczywiście był denerwujący, przebiegała w nieładzie bagna i sitowia, na szerokości około 500 kroków. Zaledwie udało się mnie zebrać ze 60 ochotników przeważnie oficerów, z którymi rozsypawszy się w tyralierkę, broniłem bezładnego przejścia oddziału przez bagna i rzekę, trzymając Moskali w odaleniu. — Po przejściu przez rzekę zająłem z tą garstką przeciwny brzeg. Widać, że Moskale mieli już dosyć, bo pozostali na przeciwnej stronie, niepróbując przeprawy — tembardziej że był już późny wieczór. Walka ta odbywała się pod Chęchłami.

Zamiarem moim było nieczekać aż Moskale się przeprawia lub obejdą nas, lecz uporządkowawszy o ile możności oddział — dalej się przedzierać. Oficerowie jednak złożyli radę wojenną i zakomunikowali mnie tejże wynik, że dla braku zupełnego amunicyi (niebyło ani 50 naboji na cały oddział) zupełnego wyczerpania sił wojska, niemożności jakiegokolwiek obrony, niezwłocznie żądają wrócić do Galicyi. Choć to postanowienie było wbrew mej woli, ustąpić musiałem, bo rzeczywiście w tych okolicznościach niebyło innego punktu wyjścia. Nocą więc ruszył oddział ścieżkami gęsiego, przecinając gościniec od Olkusza i odcinając pikietę moskiewską postawioną przed miastem. Miasto, podług zasiągniętych wiadomości, było wolne prawie od Moskali, bo wszystkie wojska, a nawet armaty wysłano za mną z Olkusza. Pięćdziesięciu zdolnych do boju, wystarczyłoby do zajęcia Olkusza, dla efektu chociaż! Wycieńczone siły, niepozwoliły i tylu ochotników zebrać. Oddział gęsiego prowadzony, przedstawiał widok maruderów nie dbających już na żadne niebezpieczeństwo, jakie ich spotkać może, rozciągnął się na linii dłuższej niż kilometr. Dziesięciu kozaków mogło te rzesze bezsilne wycieńczone głodem i utrudzeniem, do nogi wybić. Moskale jednak pozwolili nam dojść do granicy, bo niewiedzieli o naszej bezsilności.

Po przejściu granicy, żołnierze broń złożyli i ta ocalała, użytą została dla innych oddziałów następnie wychodzących.

Zwyciężyliśmy, pobiliśmy Moskali po trzykroć, w bitwach strat liczebnych niebyło, a jednak pobici zostaliśmy.

Nie Moskal nas pobił, a niemoc fizyczna, głód, wyczerpanie niewyczas i brak nainiezbędniejszych środków do dalszej walki. Przeszkody te były nieznaczące w pierwszym okresie powstania, bo wówczas nikt nie myślał, że przeszedłszy granicę, zabezpieczy

życie, wypocznie i znówu z innym oddziałem ruszy. W drugim okresie już się z nimi liczone.

Jeszcze krótszy był przebieg kampanii oddziałów, które prawie równocześnie ze mną wychodziły, jak Mierosławskiego, Rumockiego, Tanieskiego, Grekowicza, Krukowieckiego — które zaraz na granicy rozbite zostały.



ROZDZIAŁ III.

WYPRAWA WOŁYŃSKA.

Moją wyprawę wołyńską na Radziwiłów opisywać nie miałem zamiaru, gdyż ta w głównych zarysach dostatecznie podana w pamiętnikach jednego z najzasłużeńszych badaczy czasów powstania naszego, mianowicie przez pułkownika Strusia (Dr. Jana Stellę Sawickiego) — tembardziej że przyjmując dowództwo oddziału tego, postawiłem za warunek, nieprzyjęcia zań odpowiedzialności, dopiero z chwilą przejścia granicy, a to z powodu smutnego doświadczenia, nabytego w czasie organizacyi wyprawy krakowskiej, oraz nieznamomości stosunków Galicyi wschodniej.

Gdy jednak wyprawa ta, o ile słyszę z niektórych wersyi, a nawet ogłoszonych drukiem pamiętników, zdawać by się mogło, wiarogodnego śp. Floryana barona Ziemiańskiego, zupełnie niezgodnie z prawdą, w fałszywym tendencyjnym świetle, jest przedstawiona, dla tego jako jeden z uczestników takowej, skreślam ją w krótkich zarysach; żyjący zaś jeszcze towarzysze, poświadczyć mogą, prawdziwość przytoczonych faktów, jak i bezpodstawność zarzutu o rzekomych nieporządkach, w pamiętnikach tych przytoczonych, które nawet dowodami odpieram.

Zarzuty uczynione osobistościom udział w organizacyi tak wojskowej jak cywilnej biorącym, na mocy fantazyjnych, osobistych, na sympatyi, antypatyi lub pozorach opartych, dowodzą jak ludzie lekkomyślnie nieraz postępują, rzucając się na najdroższy skarb człowieka, na jego cześć, niestarájąc się zgłębić przyczyn, rzucając podejrzenia, które niestety tak się łatwo, w naszym zdemoralizowanym niewolą społeczeństwie przyjmują i za fakt uznany zbrodniczy, dokonany podają, niezastanowiwszy się, czy było możebnem nawet w tych warunkach, odpowiedzialnym go czynić. W innych warunkach bytu kraju naszego, niezależnych od tyłu zewnętrznych przyczyn, udaremniających nasze najlepsze chęci, mielibyśmy prawo wymagać dokładnego wykonania wszystkiego, w warunkach w jakich nasze powstanie się znajdowało, tylko zła wola, zaniedbanie podjętych obowiązków, piętnowane być mogą. Do osobistości, która powoduje się sympatya lub antypatya, w sprawie publicznej, plwa na wszystko co z ta-

kim poświęceniem, trudem i ofiarami podjęte zostało, która pracując w organizacyi powstańczej, wbrew swemu przekonaniu, nie ma odwagi cywilnej wypowiedzieć, że niesolidaryzuje się z tym ruchem — do niej można zastosować słowa wielkiego naszego wieszacza „że biada jej, gdy sprawie Ojczyzny tylko pół serca oddaje“.

Przysłowie dawne „musi być prawdą bo wydrukowane“ dziś zastosować się nieda, bo dziś pisma drukowane noszą charakterystykę nieprawdziwości faktów, a sądów z pozoru, bajek powtarzanych przez zawistnych i niechętnych, bez najmniejszego zastanowienia się, czy czytelnik przypuścić może, by osobistość która się całkowicie oddała sprawie narodowej, była zdolną dopuścić się czynu nikczemnego, który jej autor zarzuca, przedstawiając fakta sztucznie zestawione li na mocy, przypadkowego zbiegu okoliczności, dających powód do zarzutu.

Organizacya cywilna występuje przeciw wojskowej i odwrotnie, niezastanawiając się, czy w ludzkiej mocy było dokonać nie jedno, co się nie dało uskuteczyć. Czyż niewiemy z jakimi trudnościami walczyła organizacya cywilna, by dostawić do obozu potrzebne dla oddziału rekwizyta i amunicya, więc czy to jej wina, że pod różnemi postaciami ta broń sprowadzana była, by nie popaść konfiskacie. Czyż ta, posiadała zakłady, fabryki i składy, by to wszystko mogło być do porządku doprowadzone, jak w krajach o własnym rządzie!

Dowódzca nie był w stanie przed tem sprawdzić dobroć, jakość i ilość, broni, amunicyi i rekwizytów, gdy do chwili dostawienia tychże na punkt zbioru, oglądać niemógł, pochowanych w stodółach w słomie, lub zakopanych w ziemi, aby nie zdradzić miejsce schowku; z dostarczonemi zaś w ostatniej chwili, niezwłocznie uchodzić musiał, by niebyć zagarniętym przez oblavy na nas czyhające.

Prawda, że były nadużycia wielkie, wyzysk oszukańczy krwi i mienia, lecz tego dopuszczały się wyrodne, chciwe jednostki, nie organizacye! Tych należało piętnować i przekazać nazwiska potomości.

W końcu maja 63 r. przybyli do mnie chorego na żółtaczkę, kryjącego się wówczas przed policją i żandarmami w Spytkowicach, na przewozie nad Wisłą, u rybaka Noworytki pp. Władysław hr. Koziembrodzki, Mieczysław hr. Rey, Alfred Bogusz, Kazimierz hr. Czapski i Henryk Schmidt z propozycją bym przyjął dowództwo oddziału i wkroczył na Wołyń.

Na zapewnienie, że nikt ze znajdujących się w wyprawie krakowskiej, nie ma do mnie pretensyi, opinia jest mi przychylna, a wszyscy oficerowie z wyprawy krakowskiej pójdą ze mną, dałem odpowiedź twierdzącą; za warunek jednak postawiłem, że nieznając stosunków Galicyi wschodniej i nauczony doświadczeniem

wyprawy krakowskiej, odpowiedzialność za oddział przyjmuje dopiero — w chwili przekroczenia granicy.

Ze względu, że wówczas chodziło głównie o podtrzymanie tylko powstania, więc za najodpowiedniejszy punkt do przejścia granicy uznałem okolice Beresteczka, niezajętego wówczas przez Moskali, z kąd łatwo można się było dostać do lasów wołyńskiej gubernii, które mogły dać schronienie na czas dłuższy — a z tamtąd w razie danym dostać się i do Królestwa.

W połowie czerwca przybyłem do Lwowa, z kąd łatwiej osobście mogłem organizację dozorować. Alfred Bogusz, którego dla bystrości umysłu i rozległych stosunków, miałem sposobność bliżej ocenić w wyprawie krakowskiej, mianowany szefem sztabu czynnie i energicznie zajął się organizacją, mój doświadczony odważny Kazimierz hr. Czapski dowódcą kawalerii, Stanisław Lesiński, Kazimierz Grudziński, Alfons Didier, Giżyński, Dziubiński, Czaderski, Wojciecki Antoni, piechoty i kosynierów. Li-stopad - saperów, Georgeon straży obozowej i furierem. Borys Czo-snowski i Sokulski adjutantami oddziału, Dr. Fiszer lekarzem obozowym.

Gdy główna organizacja już była na ukończeniu, rekwizyta częściowo z Krakowa, a reszta broni i amunicja ze Lwowa na miejscu, prawie w komplecie znajdować się miały tak, że wkrótce mógł być gotów oddział do przejścia granicy, wiedząc, że J. Wysocki również ma wychodzić na Wołyń, uważałem za obowiązek, przedstawić się zasłużonemu wojownikowi i porozumieć, co do wspólnych działań na Wołyniu — tak — żeby oddziały miały wzajemne uczucie i wspierać się mogły.

Oddział mój jako przeważnie sformowany z ludzi i rekwizytów wyprawy krakowskiej zupełnie nie podlegał komendzie Wysockiego, a tylko ze względów łatwiejszego dostania się na terytorium Rosyi, koło Beresteczka miał przejść granicę.

Wysocki wówczas mieszkając we Lwowie, przyjął mnie życzliwie, wyjaśnił mi swój plan i swoje położenie, twierdząc że opinia publiczna zmusza go do wyjścia z oddziałem — niedostatecznie uzbrojonym — więc to chce uczynić, planując szturm Radziwiłłowa.

Zdziwiony zapytałem, czy jego siwa głowa pozwala na taką pewną zagładę oddziału i wyprawę bezpożyteczną. Na co odrzekł ze łzami, że trudno, bo otoczony malkontentami, dla dogodzenia opinii publicznej chce jak najprędzej przejść granicę, a raz na czele oddziału da sobie radę. Żał mnie było starca, a powodując się dobrem sprawy, nie osobistemi względami zaproponowałem mu, że jeśli odstąpi od swego planu brania szturmem Radziwiłłowa, ja postaram się wyrobić w wydziale lwowskim, że tak mój, jak Horodyńskiego oddział, zostaną zbliżone do jego i trzema kolumnami o ile możności jednocześnie

starać się będziemy przejść granicę. Żądałem jednak od Wysockiego — by zaniechał myśli szturm bezużytecznego Radziwiłowa, a przeszedł koło miasta, w skutek czego gdy Moskwa z miasta za nim wyruszy, my przybywając z Horodyńskim z dwóch stron na tyły Moskali, skutek pomyślny wyprawie zapewnić możemy. Po rozbiściu tych Moskali, dalej w kraj się posuniemy, każdy oddział osobno, wzajemnie się wspierając i czucie zachowując.

Z wdzięcznością przyjął Wysocki moją propozycję, zwiąc mnie swym zbawcą — jeżeli to przeprowadzę. Ukochany nasz „Czerwony książę“, gdy mę projekt przedstawił, ze znaną mu energią zajął się i przeprowadził w Wydziale przybliżenie naszych oddziałów do Wysockiego.

Wracając z objazdów miejscowości, w których mój oddział formowałem, wstąpiłem powtórnie znowu, odwiedzić Wysockiego, który wówczas ze swoim sztabem w Podkamieniu już przebywał.

Tam poznałem się ze ś. p. pułkownikiem Domagalskim, szefem sztabu Wysockiego. Temu zasłużonemu czerwonemu demokracji, widocznie przedstawiłem się bardzo białym, bo gdyśmy dysputowali, a on wciąż sypał frazesami „że krew dla ojczyzny powinna się lać strumieniami“ odparłem, że jemu, jako podkomendnemu wolno swą krwią szafować, mnie zaś, jako dowódcy niewolno zmarnować jednej kropli krwi, powierzonych memu dowództwu żołnierzy.

Domagalski w zapale mi dociał, że z takimi zasadami, lepiej było za piecem siedzieć, niż wybierać się do powstania, na co mu zauważyłem — że ja jednak z mojami zasadami, od początku powstania za piecem nie siedzę, koledzy znają mnie czy się oszczędzam, on jednak dotąd z zapieca nosa nie wychilił.

Sprzeczka stawiała się coraz gorętsza, lecz przybycie Wysockiego położyło jej koniec. Wróciłem do Lwowa nie przypuszczając, by jakakolwiek zmiana w planie działań postanowionych z Wysockim zająć mogła.

Zawiadomiony, że wszystkie potrzeby do wyprawy są na miejscu, udając się na punkt zbioru, dla przekonania się, wstąpiłem do Wysockiego, w celu ostatecznego z nim porozumienia się. Ten wręczył mnie rozkaz i plan szturm Radziwiłowa. Plan skombinowany, który nawet w wojnie regularnej trudny był do wykonania, cóż dopiero mówić w podobnem do naszego położenia, gdy oddziały nasze dopiero były na papierze z nieświadomą ilością ludzi i uzbrojenia.

Moje perswazyje wszelkie nie zostały uwzględnione, jeszcze irytowały starego generała, który uważał, że gdy on stoi na czele, to odrazu będzie miał wojsko regularne, wyćwiczone, zdolne szturmować miasta. W końcu oświadczył mnie, że rozkaz podobny już Horodyńskiemu przesłany, zmieniony być nie może i ja również mam się doń zastosować.

Tę zmianę planu pierwotnego przypisuję śp. Domagałskiemu i dla tego rozmowę jego ze mną powyż przytoczyłem. Widocznie miłość własna starego generała nie pozwoliła, by plan gołowego dowódcy mógł mieć zastosowanie.

Zdeprymowany wróciłem do Lwowa, ażeby zarządzić dostawę ludzi na dzień oznaczony. Ze Lwowa zaś wprost do Sienkowa, zkaż mnie i szefa sztabu A. Boguszu p. Wasilewski do obozu miał odstawić.

Rozkaz, przesłany pułkownikowi Miniewskiemu, brzmiał jak następuje:

„26 czerwca 1863. Naczelný dowódca sił zbrojnych województwa lubelskiego i ziem ruskich — do pułkownika Miniewskiego.“

„Pułkownik Miniewski, dowódca oddziału, organizującego się na mojem lewem skrzydle, przejdzie granicę o godzinie 9 wieczorem. Przed wymarszem głównego oddziału wyśle o godzinie 9½ mały oddział ze 100 ludzi, z których 10 kawalerzystów, w lewo na północ ciągnącą się groblą od Bezedni do Korynsk, dla oczyszczenia granicy od objeszczyków, których będzie się starał pochwyć. Oddział ten, dochodząc do Korynsk, zwróci się z grobli na prawo i w Siestratynie połączy się z głównym oddziałem.

„Pułkownik Miniewski z głównym oddziałem pomaszeruje przez Siestratyn i Baranie do Radziwiłłowa, aż do przecięcia się tej drogi z traktem, idącym z Radziwiłłowa do Krupiec, gdzie powinien stanąć najpóźniej o trzeciej; następnie posunie się traktem od Krupca, do Radziwiłłowa i zaatakuje przedmieście Krzemienieckie, starając się dotrzeć do drogi krzemienieckiej dla połączenia się z prawem skrzydłem Horodyńskiego. W czasie ataku zasłaniać się będzie patrolami i najmocniej pilnować od strony Krupca, a gdyby jaka rota piechoty lub szwadron kawalerji pokazał się od strony Krupca, zwrócić się przeciwko nim całemi siłami i dopiero po odparciu atakować Radziwiłw.

„Przechodząc przez Baranie, pułkownik Miniewski wyśle patrol, a nawet mały oddział ze stu ludzi do Siteńki, leżącej w lesie nad strumykiem Siteńka, dla wstrzymania nieprzyjaciela, mogącego nadciągnąć z Beresteczka i bronięcia przeprawy na tej rzeczce, który następnie, gdyby był mocno napierany, ma się cofnąć do Barania, przejść płynący tam strumyk, i będzie bronił jak najdłużej jego przyprawy.

„Gdyby atak na Radziwiłw nie udał się, a pułkownik Miniewski nie połączył się swojem lewem skrzydłem z prawem pułkownika Horodyńskiego i został odcięty, w takim razie może cofnąć się przez Pomarkę i Bohajnikę i idąc ponad granicą, połączyć się z nami w Gajach Radziwiłłowskich, gdzie w razie niepowodzenia, będzie ogólny punkt zboru; w takim razie ja ze

swej strony wysłę oddział przez Opoczynce, dla podania mu ręki. A gdyby zupełnie został odcięty i na tej drodze, cofnąć się w lasy koło Barania, uważać się za działającego samodzielnie i manewrować stosownie do okoliczności. Ponieważ w tym przypadku prawdopodobnie całe siły nieprzaciela zwróca się ku mnie, pułkownik Miniewski będzie miał otwartą drogę lasami przez Srebno, Iwanenki, Torpawkę i Stołpec, lub cokolwiek w prawo przez Beryś, gdzie może przejść Ilewę i wpaść znowu w okolicę lesiste, ciągnące się aż do Zaslavia, głównej naszej przedmiotowej.

„Uprowadza się pułkownika Miniewskiego, że za przedmieściem Kamienieckim jest magazyn prochu i kasarnia dla kilkunastu inwalidów, a w mieście na drodze dubieńskiej dom gdzie stoi 48 inwalidów.

Nie potrzebuje uprowadzać pułkownika Miniewskiego, że atakując Radziwiłów, powinien ciągle przez potrole pilnować się od strony Dubna i Beresteczka. Na drodze od Krzemieńca wysłać będzie patrol pułkownik Horodyński.

Uprowadza się także pułkownika Miniewskiego, że od chwili wymarszu ustanowiona będzie nad granicą poczta obywatelska, dla ciągłej ze mną komunikacji przez Sienków Wasilewskiego do Berlina.

Rozkaz niniejszy powinien być zachowany w jak największej tajemnicy.

Józef Wysocki².

Doskonałą parą koni, furmanem Węgrem, wózkiem krótkim, odesłał nas Wasilewski do obozowiska, nieprzypuszczając żadnej przeszkody w tej krótkiej drodze; tymczasem na kilometr niespełna od obozowiska, zastąpił nam drogę patrol austriacki zatrzymując i tak mnie, jak Boguszowi przykładając lufy szlucerów do głowy. Odwadze tylko furmana zawdzięczać należy, że zaciął konie, a te jak wichry dęba stanawszy, skoczyły na zatrzymujących je żołnierzy i porwały wózek naprzód tak, że strzały nas chybiły. Konie zaledwie powstrzymać się dały, na miejscu gdy stanęły, kiszki im wychodziły z brzuchów przebitych bagnietami; a zatem niemogłem rachować na dobre usposobienie wojsk c. k. aust. w tamtych stronach, w co każe wierzyć w swych pamiętnikach śp. Ziemiałkowski; a czego i na sobie miał dowody.

Na miejscu zastałem kupę pak z rekwizytami i bronią, lecz nikogo, coby mnie o zawartości mógł powiadomić.

Konie niekute na powrózkach do drzew przywiązane. Na to wszystko dwóch strażników niemających zgoła pojęcia o niczem. Za to, około północy burza z nawałnicą, piorunami, która zdawało się, zatopi wszystko!

Według planu Wysockiego, tego wieczora miał być

mój oddział uzbrojony i wyruszyć ku granicy, by drugiego dnia o świcie zaatakować Radziwiłłów od strony północnej.

Ludzie dostawieni byli do obozu dopiero nazajutrz o godzinie 11. przedpołudniem, zamiast dnia poprzedniego tak zgonieni — że literalnie do niczego użyć być nie mogli przed odpowiednim wypoczynkiem, a tembardziej do organizacyi i odbycia forsownego marszu do granicy. Jeden nawet z przybyłych żołnierzy, ze zmęczenia usnął na wieki pod krzakiem.

Przy jedynej latarni i przy blasku błyskawic, dokąd ulewa nie przeszkodziła, palaszem z trudem otwieraliśmy z Boguszem paki. — Okazało się, że broń nie była moja z wyprawy krakowskiej, lecz karabiny zardzewiałe, spakowane osobno kolby, osobno lufy, że stemple tak zardzewiały, że trzeba było slusarzy ze śróbsztakiem, by takowe złożyć, dopasować i uczynić zdolnymi do użytku, wiele kominków (brantek) było nieprzewierconych, kosy niobsadzone, a nawet niepoprostowane. To wszystko, musiało być dopiero w marszu na przystankach uzupełnione, bez tych uzupełnień, o przejściu granicy, nie mogło być mowy, wiedząc, że zaraz z Moskwą będziemy mieli do czynienia.

Że zaś na zajmowanym obozowisku, nie czułem się bezpiecznym, będąc tak w pobliżu napadnięty przez patrol, przeto gdy tylko ludzie wypoczęli, rozdałem im broń, tak jak była nie-dopasowana, a resztę z pakami złożywszy na wozy, wyruszyliśmy szukając miejsca odpowiedniego i bezpiecznego, w marszu po wsiach w których znajdowały się kuźnie, robiąc przystanki — by okuć konie, prostować i nabijać kosy, oraz dopasowywać części składowe broni. W drodze, około 5-tej po południu, otrzymałem od Wysockiego zapytanie, czy gotów jestem nazajutrz o świcie przejść granicę i zaatakować Moskali. Przez tegoż posłańca odpowiedziałem, że wskutek niemożności przeprowadzenia odpowiedniej organizacyi oddziału, prędzej jak za 3 dni gotów być nie mogę.

Nazajutrz ku wieczorowi otrzymałem od Wysockiego przez kurjera i adjutanta jego, Antoniego Gólkowskiego, wiadomość o śmierci i zniesieniu oddziału Horodyńskiego, klęsce jemu zadanej, i jego powrocie do Galicyi, z poleceniem ażebym broń zakopał, a ludzi rozpuścił — bo tam nie ma co robić.

Rozkaz ten brzmi „Ponieważ po rozbiciu Horodyńskiego i moim powrocie do Galicyi, wkroczenie twoje pułkowniku, nie przyniosłyby żadnego pożytku, zatem polecam ci broń amunicyą i ludzi jakich masz, przechować w miejscach pewnych, aż do dalszego rozporządzenia i zdać mi natychmiast raport. 2/7 1863“.

Otrzymawszy tę smutną wiadomość, wydałem odezwę do wszystkich żołnierzy z rozbitych oddziałów Horodyńskiego i Wysockiego, ażeby niezwłocznie przybyli pod mój sztandar. Tę odezwę posłałem na ręce Wysockiego do potwierdzenia, w prze-

konaniu, że ją nietylko poprze, ale i sam ze swoimi przybędzie. Otrzymałem jednak lakoniczną odpowiedź, że „nie wie, czy ma moje polecenie potwierdzić i dla tego udaje się w tej kwestyi z zapytaniem do R. N. radzi jednak broń zachować, ludzi rozpuścić. Z powodu jednak że Wysocki, przekraczając granicę z powrotem, stracił prawo do komendy, wolno mnie było nie słuchać go. Maszerując z oddziałem w tamtych stronach Galicyi, uzupełniałem braki i musztrowałem żołnierzy tak, że w końcu od regularnego wojska mój oddział nie różnił się.

Czekałem na przybycie większej liczby ludzi, amunicyi i odpowiedzi R. N. Ostatniej, choćbym się niedoczekał, zdecydowany byłem przekroczyć granicę, gdy tylko będę miał oddział zdolny do przyjęcia bitwy, zaopatrzony w minimalną konieczną ilość amunicyi przynajmniej na dni kilkanaście.

Do broni atoli, której miałem około 400 sztuk, a która to ilość miała być zrekrutowaną ze starych ausszusów austriackich, w samej zaś rzeczy były to ausszusy angielskie przesyłane kafrom i hotentotom z wylotem 7/8 cala — było 3000 naboji — zaś do sztucerów belgijskich, w które była jedna kompania uzbrojona, było znacznie więcej ładunków, które jako mały kaliber do pierwszych zupełnie się nie nadawały, prócz tych, 1000 pistoletowych. Gdybym zatem, albo belgijskich sztucerów dostał więcej co mnie obiecywano — lub ładunków do pierwszych, a i ludzie, żeby nadeszli w większej liczbie z rozbitych oddziałów, nie oglądałbym się na inne braki i zły gatunek broni i granicę przekroczył.

Z całą stanowczością zaznaczam — że mianowany dla mego oddziału komisarzem Floryan Ziemiałkowski, organizacją nie zajmował się zupełnie. Tylko Wasilewskiego znałem i dopiero w lesie pod Bezednią, poznałem młodego Steckiego, ze Środopolec.

Z oddziałem zupełnie wyćwiczonym odpowiednio zorganizowanym, lecz z brakiem odpowiedniej potrzeby, broni i amunicyi, po kilku dniach manewrowania po Galicyi przybyłem w lasy pod Bezednią (6-go dnia po rozbiciu Wysockiego), w którym to miejscu postanowiłem ostatecznie oczekiwać na uzupełnienie braków i na odpowiedź Rządu Narodowego.

Rano krytycznego dnia przybył do obozu młody Stecki z wiadomością, że austriackie wojska ściągają i wysyłają za mną, celem zabrania mego oddziału. Wskutek tego poleciłem mu, by starał się z niemi porozumieć i wyrobić, by poszli sobie w przeciwną stronę, co mi się dotąd z mniejszemi oddziałami udawało tak nieraz, że patrol uformował się salutując, honory maszerującemu oddziałowi oddawał (jak np. w Stanisławczyku) i poszedł w przeciwną stronę. W razie gdyby mu się to nieudało, miał mnie dać znać. Co się stało z p. Steckim do dziś dnia nie wiem, bom żadnej od niego nieotrzymał wiadomości.

Po wysłaniu Steckiego, tegoż dnia po południu, przybyły ze Lwowa hrabianki, córki Wł. Zamoyskiego odwiedzić znajomych w obozie. Jadąc do nas, nigdzie wojska austr. nie spotkały, z tą wniósłem, że albo wiadomość była nieprawdziwa, albo udało się Steckiemu polecenie wypełnić. W skutek tego, postanowiłem nie ruszać obozu i noc tutaj przepędzić, oczekując wieści, a zachowując możliwą ostrożność pikiety naokoło obozu w promieniu 1000 kroków p. m. rozstawiłem.

Z brzaskiem dnia, około 3 rano, obchodząc obóz, spostrzegłem od strony północnej, pikiety nasze uciekające do obozu, kolbowane przez goniących żołdaków, nie mogłem rozpoznać czy to nie są Moskale, (bo w długich płaszczach). Widząc to, dałem znak gwizdkiem, pogoń wstrzymała się, natychmiastowo, a cały oddział był gotowy pod bronią.

Kapitan austriacki wraz ze szpiclem podszedł, oświadczając, że mnie z całym oddziałem bierze do niewoli. Zaczęła się między nami gorąca wymiana słów, w której mu wykazałem, że wziąć się do niewoli nie dam, będąc aż nadto silnym, lecz że z wojskiem cesarskim nie chcąc szukać zaczepki — proszę go by się cofnął i nie wywoływał rozlewu krwi, bo ja natychmiast granicę przechodzę. Sowite posmarowanie łapy szpicla, zdawało się mnie, że było dostatecznym argumentem, że kapitan wraz ze swą kompanią cofnął się. Nie czując się jednak bezpiecznym, obóz związać zacząłem, mając zamiar zdążać ku Beresteczkowi, bo jak wiadomość otrzymałem, pod Bezdnią przejście, Moskałe śilnie zabezpieczyli.

Nie upłynęło jednak pół godziny, od odejścia kompanii austriackiej, gdy napadły na nas dwa szwadrony huzarów węgierskich, chcąc brać nas do niewoli. Przemówienie jednak do nich, a raczej zwymyślanie ich po węgiersku, przez ich byłego oficera, a rotmistrza kawaleryi mego oddziału, Zdzisława Ziemblic Bogusza tak poskutkowało, że huzarzy zawrócili konie i znikli w zaroślach. Wojsko moje już do pochodu na wąskiej leśnej drodze uporządkowane było — hasło do marszu miało lada chwila być wydane, gdy znowu następuje na nas batalion piechoty, z pułkownikiem na czele, wraz z poprzednim kapitanem i szpiclem.

Żeśmy jego jeńcami stanowczo oświadczają, na co drwiącą otrzymuje odpowiedź, że jak uważam, rzecz się ma przeciwnie, bo myśmy liczniejsi i jedno moje słowo, a korpus mój rzuci się na jego batalion, z czego on żadnego zysku nie osiągnie, przeciwnie może być do odpowiedzialności pociągnięty za niepotrzebny przelew krwi, gdy jak widzi, my wychodzimy z Galicyi i niepragniemy wrócić. Sierdził się pułkownik i niechciał o niczem słyszeć, dopiero gdy dowódzca saperów Listopad, imponującej postawy, nadzwyczaj strojnie i fantastycznie ubrany, z wielką czarną brodą — przystąpił do mnie i salutując zapytał jakie są rozkazy dla batalionu saperów (miał ich 30), po mojej odpo-

wiedzi... stać broń nabita w pogotowi! zmieszał się pułkownik pytając jak to? pan masz batalion saperów!... odpowiedziałem tak i wskazałem że stoją z tyłu jego batalionu, w zaroślach za pagórkami.

Wówczas pułkownik zmienił taktykę i z gburą natarczywego stał się grzecznym, okazując się bardzo życzliwie, na pozór usposobiony i zaznaczając, że rad by mnie wypuścił, tego jednak zrobić nie może, bo ma nakaz zabrać mój oddział, z próżnemi rękami wracać nie może, chyba że mu dam tyle ludzi, ile on ma wojska. Zapytany ile ma, odpowiedział że 1000 ludzi. Sam wówczas tej liczby nie miałem. Szpicel wciąż mnie podburzał, bym w układy nie wchodził, tylko wojsko austriackie rozbroił. Co prawda mimo liczebnej większości, Austriacy tak niefortunnie stanęli kolumnami, że nasi ich oskrzydłali i jedno zakomenderowanie na prawo zwrot na bagnety, mogło bógosu austriackiego narobić. Gołowasy jednak dowódca, mimo że miałby serdeczną ochotę spróbować się z nimi i krwi im upuścić, jednak tej ochocie pozwolić sobie nie mógł, bo za taki czyn niepolityczny, mógł być do odpowiedzialności przez swoich pociągnięty i wszystkie następne wypadki, stan oblężenia, uwięzienie naszych obywateli, a między nimi i „Czerwonego księcia“, poszłyby na jego rachunek. Więc mimo chęci i namowy szpicla, ani pomyślał na seryo o tem, ale widząc że Niemiec stał się skłonny do układu i nie rozpatrzył się w rzeczywistej sile oddziału, zaproponował, że rachować nie będzie, ale pozwoli mu zabrać taką część oddziału, jaka znajduje się przed frontem jego wojska. W lesie Niemiec nie mógł się zorientować, że to stanowiło zaledwie 120 ludzi i kilkanaście wozów z próżnemi pakami od rekwizytów, które i tak przy przejściu granicy miały zostać w Galicyi. Zgodził się również i na to, że oficer komendujący kapitan Giziński pozostawiony przy tej, do niewoli przeznaczonej części oddziału, dopiero w godzinę po naszym odjeździe — każe broń złożyć, a sam za oddziałem podaży. Co też uczynił, w dwie godziny nas doganiając. Pułkownik wyruszył z jeńcami do Brodów, bardzo niezadowolony, że tak zawiedziony został, lecz słowa dotrzymał oficerskiego. Z liczby wziętych do niewoli, mało którego do Brodów doprowadził, tak wiara w drodze nogę urządziła.

Przejście granicy z powodu obsadzenia takowej w tej miejscowości, było niemożliwe od strony Wołynia, przy tem, oddanie dwóch kompanii do niewoli, które uzbrojone były w sztucery belgijskie, do których właściwie tylko miałem ładunki, a których to kompanii wycofać nie mogłem, by niewzbudzić podejrzania austriackiego dowódcy — osłabiło doszczętnie oddział tak, że o natychmiastowem przejściu granicy, literalnie mowy być nie mogło, dla tego uznałem koniecznem do polecenia Wysockiego, choć bezprawnego, ale w obecnych warunkach racjonalnego, zastosować się i we dworze w Bolidurach, w któ-

rym odpoczywaliśmy, wszystkie rekwizyta, broń, konie, amunicję pod opiekę oddałem, a żołnierzy rozpuściłem, rozdawszy gotówkę którą posiadałem, za pośrednictwem oficerów Czosnowskiego, Czapskiego i A. Bogusza, jako kilkodniowy żołd. Po skutecznieniu tych formalności, wraz z Alfredem Boguszem do Lwowa wróciłem i zająłem poprzednią kwaterę w domu Gromadzińskiego, dokąd w kilka dni pp. członkowie sądu wojennego w osobach prezesa Sądu, pułkownika Strusia i hr. Tadeusza Tarnowskiego do mnie przybyli.

Tym zgłosiłem następujący protokół.

„Wskutek narady z generałem Wysockim, ułożony został plan wspólnego działania trzech oddziałów, to jest generała Wysockiego, Horodyńskiego i mojego, do którego stosując się, musiałem część moich ludzi i zapasów wojennych z drogi do Łuczysk przerzucić ku Sienkowu, gdzie ostatecznie punkt zboru był przeznaczony. Chcąc się połączyć z oddziałem generała Wysockiego dla wspólnego działania, musiałem koniecznie szukać przejścia przez rzekę Styr, a to na terytorium Galicyi; gdy zaś tak wskutek prywatnych doniesień, jak i zdania komisarza Wasilewskiego, dopiero na miejscu zboru zaczerpniętego, przejście przez Szczurowice było zbyt niebezpieczne, musiałem szukać dalszej drogi i postanowiłem przejść przez Styr koło Stanisławczyka, skąd łaskiem, idąc przez Boddury wprost do Bezedni, łatwo było dostać się za granicę.

„W nocy z 29 na 30 czerwca udałem się z kilkoma przy mnie będącymi oficerami koło lasu Wygody na punkt zboru, gdzie władze cywilne dostawić miały najdalej do północy ludzi i oficerów moich, we wsiach okolicznych rozlokowanych, z któregożo zadania władze cywilne tak się źle wywiązały, że prawie nikogo nie znalazłem oprócz 60 ludzi, którzy do obsadzenia pikiet i trzymania koni, przysłanych bez uzdźwignięcia, niedostateczni byli. Nie było więc naprzód ręk do zrobienia jakiegoś ładu w chaotycznej masie nagromadzonych efektów, tem więcej, że oprócz jednego Massalskiego nie było nikogo, któryby wśród ciemności nocnej i ulewy wskazał, gdzie i co właściwie się znajduje, tak że gdy, biedząc się, sam pałaszem paki rozbijałem przy jednej latarni, jaka się w obozie znajdowała, a tę burza i deszcz co chwila gasiły, zmuszony byłem oczekiwać bezczynnie nadejścia reszty ludzi, których dopiero około godziny 10-tej rano, zgłodniałych, pragnących i strudzonych 12-godzinnym marszem po manowcach, do obozu przyprowadzono.

„Mimo tych przeszkód kazałem ludziom w największym pośpiechu rozdzielić broń, mundury i moderunki, przyczem niepospolity powstał chaos z przyczyny nieobecności większej części oficerów, których dopiero nazajutrz, dnia 1 lipca, pod Stanisławczyk dostawiono do obozu. Przy rozdawaniu broni okazało się, iż było na punkcie zbornym około 60 sztuk najlepszych ka-

rabinów niezłożonych, tak że kołby, lufy, stęple i okucia każde gdzieindziej się znajdowały, i potrzeba było rusznikarskich narzędzi, czasu i ludzi fachowych do złożenia tej broni. Reszta karabinów znajdowała się także, z małym wyjątkiem, w najopłakaniejszym stanie, brandki zagwożdżone, stęple w fugach tak zarzewiały, że je tylko za pomocą szrubsztaka wyciągnąć można było; bagnety zasadzone na lufy, ale połową tulejki za nie wystające, które tylko za pomocą młotka pozbijać z luf można było, i prawie każdy potem należało podpiłowywać. Do dwudziestu juków pod amunicję nie było ani jednego siodełka. Gdy poleciłem juki włożyć na wazkach zwykłych pasach na konie, te się przewracały, tak że było niepodobieństwo wożenia ładunków w jukach. Zmuszony więc byłem amunicję umieścić na trzech wózkach, jakie były przy oddziale, a brakującą uprząż dopiero z worków i sznurów naprędce sporządzić kazałem. Jeden z tych wózków, pod ciężarem około 5 centnarów tylko, złamał się, kompletnie, drugie dwa z trudnością uprowadzić się dały.

„Kosy przysłane były nieodprostowane i w razie potrzeby koniecznie je przerabiać potrzeba było. Łopat kilkanaście i łopory, które znajdowały się na spodzie różnorodnego żelazniwa, były nieoprawne. Grotów do łanc wszystkich było 9 nieosadzonych kompletnie; derek, a raczej wołoków pod siodła brakowało.

„Rozdanie broni i moderunków między ludzi trwało około dwóch godzin. Wtém dały znać pikiety, że wojsko austriackie z dwóch stron do obozu się zbliża. Wysłałem w tej chwili oficera (bo nikogo z panów władzy cywilnej nie było), a ten o prawdzie przyniesionych mi przez pikiety relacji naocznie się przekonał.

„Najście przez wojsko austriackie przewidywałem bez tego lada chwili, gdyż sam tylko przebojem dostałem się do obozu, będąc o pięćset kroków od tegoż przez patrol z 30 ludzi złożony do tego stopnia napastowany, iż mi dwa konie mocno bagnętami pokłóli, której to bliskości austriackiego patrolu mogła i podobno powinna była władza cywilna zapobiedz. Wśród tych okoliczności zdawało mi się koniecznem uchodzić jak najprędzej z obozowiska, co też z największym pośpiechem skuteczniałem, zabierając co się dało, szczególnie amunicję; nie miałem jednak czasu i możności rozbijać każdą z osobna nieetykietowaną skrzynkę i paczkę, by się przekonać o jakości i ilości ładunków.

„Nastąpił uciążliwy i forsowny marsz do Oczacia, wśród którego z przyczyny wielkiego gorąca, a zupełnego braku wody, straciłem około 80 zemdlących do tego stopnia ludzi, że niektórzy z wyczerpięcia sił poumierali. Nadmienić muszę także, że przy całym obozie miałem jednego przewodnika, i to prostego człowieka, z którym tylko z trudnością porozumiewać się można było. Gdy przyszło konnicy i furgonom obchodzić pół mili bagna, a piechota, i tak już strudzona, wprost o wiele bliżej przejść mogła, musiała konnica z furgonami dwie godziny czekać, nim

prowadzący ją przewodnik do piechoty wrócił i znów też przez bagno przeprowadził. Tym sposobnem wlokąc się, doszedłem pod wieczór do Oczacia, gdzie znalazłszy wodę i nieco żywności i zarekwirawwszy wozy, pod przewodnictwem pana Gruszeckiego, którego tam zastałem, ruszyłem w dalszy marsz ku Stanisławcowi, pod którym rano około 2-ej godz. z upadającymi ze zmęczenia ludźmi i końmi w lesie obozem stanąłem. Tu też nadesłano mi resztę oficerów i byłem w stanie oddział wojskowo zorganizować, tworząc dywizyony i plutony, sortując broń, kując, pilując a nawet szyjąc, bo ani jednego pendentu dla kawaleryi nie było i dopiero z różnorodnych rzemieni je pozszywano.

„Od tej chwili, do godziny 3 po południu, wśród różnych zatrudnień, a przytem ciągłego deszczu, nie miałem miejsca ani czasu przekonania się o ilości ani jakości ładunków, jakie ze sobą byłem w stanie zabrać; pod wieczór dopiero, gdy deszcz nie ustawał, pod zrobionym z płaszców piechoty namiotem policzyć i rozsortować kazałem ładunki. Okazało się 15.000 ładunków małego kalibru, 1800 dużego i 1000 pistoletowych. Ponieważ zaś małego kalibru karabinów tylko 53 sztuk w oddziale miałem, a wielkiego 203, więc po naradzie z komisarzem Wasilewskim stanęło na tem, bym ruszył z obozem nocą w lasy za Bolidury, gdzie mi tenże ładunki grubego kalibru dostawić obowiązał się. Więc całą noc maszerując (w skutek omyłki i bałamuctwa przewodników), stanąłem obozem o świcie 2-go lipca pod Bolidurami w lesie, gdzie organizując dalej wojsko, reparując broń i morderunki, chorągwie poświęcić i przysięgę wykonać kazałem, a zostawszy uwiadomiony, że pod Bezednią amunicya mnie brakująca dojdzie, ruszyłem pod wieczór z obozu i tegoż dnia w nocy z kompletnie uorganizowanym wojskiem, z wyczyszczoną bronią, pod Bezednią stanąłem.

„Jeszcze dnia 30 czerwca na punkcie zboru pod Wygodą, około godziny 11 rano, odebrałem od generała Wysockiego zaawidomienie, iż jest do wymarszu gotów, z zapytaniem, czy i kiedy wyjść będę mógł. Na to pytanie tym samym posłańcem, widząc zmęczenie ludzi i brak wszystkiego, odpowiedziałem, że nie prędzej jak 3-go na noc będę mógł wkroczyć na Wołyń. Prócz tej depeszy nie miałem żadnej wiadomości od generała Wysockiego

W obozie pod Bezednią dnia 3 lipca, około godziny 8 z rana, odebrałem pismo, którem mi generał o rozbiciu pułkownika Horodyńskiego i o cofnięciu się swym do Galicji donosi, radząc mi razem po przyjacielsku, bym nie przechodził granicy, bo niema co tam robić, laurów nie zbiorę. Zważywszy jednak, że rada to nie rozkaz, a dowodzę ślicznie zorganizowanym oddziałem, wojskiem pełnem otuchy i zaufania w siły swoje i porozumiewszy się z p. Ziemiańskim i Wasilewskim, wystąpiłem rozkaz, aby wszyscy ludzie z rozbitego oddziału generała Wysockiego do mnie się ściągnęli, oraz by 300 sztuk broni i nieco amunicyi, po tym oddziale zachowanej, do mego obozu dostawiono,

czego się pp. komisarze podjęli (rozkaz ten znajduje się w Czechach u p. Krajewskiego). Rachowałem, że tak wzmocniony, po odebraniu brakujących mi ładunków wielkiego kalibru, których nadejścia co chwilę oczekiwałem, będę mógł, wysunawszy się przesmykiem bagien, na północno-wschód od Bezedni położonym, sforsować most na Styry pod Beresteczkiem, a spaliwszy go za sobą, na wschód ku Włodzimierzowi w głąb kraju się przerznąć, tem bardziej, że przez wysłanych szpiegów wiedziałem, że Moskale wszystkie swe siły w Radziwiłowie skupili, ogółając z wojska Werbnę i Beresteczko.

„Po wysłaniu wyżwzmiankowanego rozkazu pojechali komisarze przyspieszyć transport ładunków, a ja, będąc zaalarmowany nadciąganiem patrolu austriackiego, posunąłem obóz trochę ku południowi, by im się z drogi usunąć. Działo się to około godz. 6 po południu. Gdy ledwie w pochód ruszyłem, nadjechał kurier od generała Wysockiego z rozkazem, w którym generał już mi nie radzi, lecz nakazuje broń złożyć i ludzi zachować, ale nie powiada gdzie i jak? Mimo że wiem, iż pierwszym obowiązkiem żołnierza jest słuchać rozkazów starszych, nie mogłem usłuchać bezwzględnie tegoż, gdyż polecenie zachowania koni, ludzi i broni było w tem miejscu i czasie kompletnie niewykonalne. Nie chcąc jednak samowolnie, wbrew rozkazowi wyższej władzy postąpić, cofnąłem w tej chwili wydane przezemnie polecenie co do ludzi generała Wysockiego (które też bez skutku zostało) i wysłałem do władz cywilnych, mianowicie do p. Ziemiałkowskiego i Wasilewskiego, z zapytaniem, co mam dalej robić, tem więcej, że ładunków grubego kalibru, do chwili otrzymania rozkazu złożenia pod Bezednią broni, tylko 1800 odebrałem. Pana Steckiego ku Leszniowu wysłałem, aby albo z wojskiem austriackiem porozumiał się, albo o niemożebności tego doniósł. Sam zaś, wskutek rady jedyne go przewodnika Korczyńskiego, na ćwierć mili tylko na południe od poprzedniego obozowiska czekać komisarzy postanowiłem.

„Noc przeszła, a komisarzy ani wiadomości od nich nie było, ale za to kompania wojska austriackiego, snąc dobrze poinformowana, wraz z ostrzegającymi mnie pikietami wpadła do obozu, który w dwóch minutach w największym porządku pod bronią stanął.

„Wśród targowania się z dowódcą tejże kompanii, nadeszła druga, także austriackiego wojska. Piechoty, huzarów i żandarmów więcej było, niż u mnie; jednak, gdy widział, że o sile naszej nie wiedzą dobrze, a rozpatrzyć się w tejże nie umieli, wymogłem na nich układ pod słowem honoru, iż zostawię im część piechoty w niewoli, i trzy furgony, pochodu zaś reszty wojska i furgonów tamować nie będą. Więc zostawiłem im dwa dywizyjony strzelców (około 140 ludzi) z oficerem na czele, który miał rozkaz dopiero w godzinę po odejściu obozu z tą zostawioną w niewoli resztą broń złożyć, a sam za nami pośpieszyć,

co też dokładnie wykonane zostało. Ja zaś z resztą piechoty, całą kawalerię i amunicję uprowadziłem w gęste zarośla, a nie mając żadnej wiadomości od pp. Komisarzy, kazałem broń złożyć którą wraz z amunicją w dalszych zarosłach zachowawszy, ludzi rozpuściłem.

Dnia 17. lipca 1863.

Miniewski.

Otrzymawszy to moje wyjaśnienie udokumentowane członkowie sądu uznali że postąpiłem zupełnie odpowiednio, a ponieważ osoba moja na razie potrzebną nie była, a oblawa zarządzona, by mnie Moskwie wydać, coraz dokuczliwiej ściagała — najętym powozem dnia 18/7 63. wyjechałem z A. Boguszem do Gródka — z kądem kolejną do Krakowa, a gdy i tam za mnie stryj mój od lat niewstający z łóżka także Józef, starzec paralytyk został aresztowany, widząc że może być ze mną źle, na szlak pruski do Reinertz chwilowo wyjechałem.

Protokół powyż wymieniony został ze strony Organizacji zakomunikowany w pisemnej drodze Floryanowi Ziemiałkowskiemu jako wspomnianemu powyżej Komisarzowi dla oddziału Miniewskiego z wezwaniem udzielenia ze swej strony wyjaśnień, względnie usprawiedliwienia o ile rozchodziło się o niedbalstwo. Ziemiałkowski nie mając danych do usprawiedliwienia swej opieszałości, porucił załatwienie sprawy Wasilewskiemu, sam zaś kreśląc swe pamiętniki, oczerniał cały zastęp najzacniejszych w narodzie osobistości, nie omieszczał i na mnie wylać swą żółć w formie satyrycznego przedstawienia sprawy. Pamiętniki te ogłoszone w 1904 r. drukiem przez żonę ś. pp. Ziemiałkowskiego obudziły tylko niesmak i wystawiły ich autorowi najfatalniejsze świadectwo.

— — — — —

Lista wyższych i niższych oficerów kadrów korpusu Mazowieckiego.

1) Brylski Edward, 2) Bogusz Alfred, 3) Bogusz Zdzisław, 4) M. Czaderski, 5) Czosnowski hr. Borys, 6) Czapski hr. Kazimierz, 7) Didier Alfons, 8) Dziubiński Piotr, 9) Dr. Fiszer, 10) Georgeon N., 11) Giżyński Henryk, 12) Gostkowski N., 13) Grudziński Kazimierz, 14) Grzegorzewski Władysław, 15) Kraków Kazimierz, 16) Kowalewski N., 17) Lesiński Stanisław, 18) Maciołowski Julian, 19) Listopad Adam, 20) Miniewski Józef, 21) Nullo Franciszek, 22) Pikosiński Julian, 23) Sokółski Józef, 24) Spött N., 25) Schmidt Henryk Bolesław, 26) Wojciecki Antoni, 27) Wierzbicki N., 28) Żelechowski Ignacy, 29) Załuski hr. Stanisław.

Po 49 latach, reszty nazwisk również i dat dokładnych niezapamiętałem, a spisy tak oficerów jak żołnierzy, wraz z różne-

mi dokumentami zaginęły z przechowania u OO. Reformatów w Krakowie.

Oddział liczył około 850 ludzi a mianowicie:

1 pułk Żuawów około 260 ludzi.

2 pułki strzelców około 480 ludzi.

Kawalerya pod Radziwiłłowem 45 koni tyleż w wyprawie krakowskiej z tą różnicą że bez koni.

Legia zagraniczna około 30 ludzi.

Artylerya około 18 ludzi bez armat.

Saperów około 30 ludzi.

Lwów, d. 29. listopada 1912 r.



ROZDZIAŁ IV.

EPIZODY

dotyczące udziału J. Miniewskiego w powstaniu styczniowym

(przedruk z Kroniki powszechnej z miesiąca lutego 1913 r. Nr. 5.)

a) Niemowlęce początki powstania styczniowego.



Garbno i rojno było w pamiętnym dniu 21. stycznia w Zalesiu pod Rawą, w majątności Bronisława Miniewskiego, organizatora powiatu.

Na pierwszą wieść o naznaczonym dniu wybuchu, poczęły dążyć do dworu ze wszystkich stron krzyżujące się w Zalesiu drogi, faetony, wózki i wozy, a że nie mogły pomieścić się na obszernym dziedzińcu, więc szeregowały się wzdłuż gościńców. W komnatach modrzewiowego domu — pełno młodzieży, ojców jej i rodzin. Kożuszki, burki, świtki, szaraczki zlewały się w charakterystyczną mozaikę ówczesnych strojów. Na twarzach wszystkich znać radość i zapał, a żwawa zdań wymiana, huczy echem, jak w olbrzymim ulu. Gościenny gospodarz, wraz z swą małżonką, Emilią z Okęckich i siostrą Heleną Miniewską, raczą i obsługują przybyszów. Nie brak domowych nalewek i starego miodu, piętrzą się po stołach przekąski, dymią bigosem kotły, a olbrzymie pieczenie nie nikną z półmisków.

W łamusie, na piąterku, w komnacie, która służyła dotąd emisaryuszom, radzi starszyzna; dyskutuje, komu oddać komendę nad ochotnikami, gdy nie chciał jej odebrać z rąk organizacyi, brat gospodarza domu, Józef Miniewski, oficer inżynierii rosyjskiej, późniejszy nasz pułkownik.

Około g. 2-giej zajechał przed dwór mały wózek, a z niego wysiadł przysłany na dowódcę p. Z., powitany gromkimi okrzykami zebranych. Przystąpił on bezzwłocznie do uformowania oddziałów i do rozdzielenia broni, dobrej, zbyt kosztownej nawet, lecz... zgoła nie kalibrowej. Niespełna w dwie godziny później, odebrała młodzież błogosławieństwo z rąk plebana, ks. Rocha Wojcieckiego i z nabożnym na ustach śpiewem wyruszyła zaprzęgami, niby na myśliwską wycieczkę.

Tabor ow wozów zdał się większy, aniżeli cały oddział powstańców, których liczba nie przekraczała dwóch setek.

Gospodarz wyruszył też z innymi w pole. Tak w jednej chwili opustoszało domostwo... Pozostała tylko pani domu, siostra i dwoje małych dzieci.

Zaprzęgi dążyły pod Grójec, do lasku odrzywołskiego, w którym mieliśmy się złączyć z oddziałem czerszczan i wspólnie uderzyć na konsystujących w miasteczku Moskali.

Zapadł zmrok wieczorny, kiedy zatrzymały się tuż za Trzyłatkowem jadące przodem zaprzęgi, dając znać, że pod lasem stoją w rozwiniętej linii rosyjskie szeregi.

— Formuj się! — zakomenderował dowódca, a młoda wiara, zeskoczywszy z wozów, uszykowała się w lot w równoległym froncie do pozycyi sałdatów.

Musiała zaimponować gromada nasza nieprzyjacielowi, który nie ruszał z miejsca i ociągał się z atakiem... Jakby struchleli na widok żadnego walki zastępu i murem wrośli w ziemię! Za długo jednak trwała ta ich nieruchoma postawa; wysłano więc bokiem wywiad dla zbadania sprawy. I oto okazało się, iż tym nieprzyjacielem, okrytym całunem wieczornym, był... młody, kilkunastoletni drzewostan sosnowy!

Rozczarowanie i wstydu trochę...

W tem nadjeżdża sąsiad, ojciec kolegi naszego, Bolesława Jasińskiego z wieścią, że zamierzone przez nas uderzenie na Grójec jest już niemożliwe, wpadł tam bowiem przed nami, na koniu Tomasz Stamirowski, zaalarmował kozaków, kilku z nich zrabął, otoczony jednak, ocalał się ucieczką, przeskoczywszy na koniu wóz, który mu zagradzał odwrót.

Odbyto przeto naradę, co czynić dalej i uchwalono wysłać, obznajmionego z terenem Józefa Miniewskiego w odrzywołskie lasy, celem uwiadomienia o stanie rzeczy czerszczan. Wyekwirowany do służby w piechocie, zaopatrzony w dobrą broń i amunicję, musiał Miniewski zostawić wszystko w oddziale, a sam z „szaszka“ tylko u boku, dosiąść dostarczonego mu dragońskiego wierzchowca, w dodatku nie podkutego i przedzierać się nocą, pokrytymi gołoledzią ścieżkami leśnymi, do kresu wskazanego. Było to wielka, zaiste, mitręga, połączoną w dodatku z niebezpieczeństwem, pojmania przez kozaków. Po dwugodzinnej jeździe usłyszał wysłannik głosy ludzkie i ujrzał pobłyski zapalonych papierosów. Las był widocznie zajęty, lecz przez kogo, przez naszych, czy przez wroga?... Podsunął się więc z odwiedzionym rewolwerem i zawołał głośno:

— Kto tam?!

Cisza...

— Tutaj Miniewski!

— Hurra, niech żyje! — było odpowiedzią sześćdziesięciu

zebranych pod wodzą Bronisława Ryxa i Władysława Miniewskiego kolegów broni.

Po krótkiej rozmowie ruszyli wszyscy pod Trzylatków, gdzie złączyły się już obie partye powstańcze. Złożono radę wojenną, postanawiając uderzyć na Błędów. Tym końcem wysłano przodem, Bron. Miniewskiego i St. hr. Tyszkiewicza, na zwiady oddział zaś postępował zwolna za wysłannikami. W trakcie marszu dla zbadania, jak silną jest załoga i gdzie jest pomieszczona, poczęła przecie starszyzna rozmyślać, rozważać, debatować, czy porw nasz z bronią nie był przedwczesny, czy nie lepiej rozejść się do domów, a dopiero, gdy będzie pewność, że powstanie wybuchło już w pełni, zebrać się na nowo w lasach Woli Prażmowskiej? Tak się też i stało... Kolumna wróciła do Zalesia i oddała broń ze słowami: „Do widzenia“. Najbardziej skompromitowany wobec władz Bronisław Miniewski wyjechał zagranicę po rozkazy do Mierosławskiego.

Roila w owych czasach, zda się, młodzież nasza, że jednym uderzeniem, jednym zamachem oswobodzi Polskę!

W. Wolski.

b) Pod komendą Józefa Śmiechowskiego.

W trzy dni po wybuchu powstania zawrzało w lasach Woli Prażmowskiej od przybywających z różnych stron pieszo, konno i wózkami, przyszych obrońców Ojczyzny.

Poważny, ale czerstwy jeszcze dowódca oddziału, major wojsk polskich z r. 1831., Józef Śmiechowski, postać nader sympatyczna, urzędował pod rozłożystą, odwieczną sosną, otoczony gronem różnego wieku, wzrostu i stroju młodzieży, pytał, sprawdzał, piorunował, to znów ścisnął tych, którzy mu bardziej przypadli do serca. Z dworu Prażmowa, majątności starosty piaseczyńskiego, ojca Bronisława Ryxa, przywiozły wozy chleb, ser, kiełbasy, kotły z bigosem, napoje, to też wesoło i ochoczo było w tej drużynie, jakby na zabawie lub polowaniu. Błogie nadzieje podnosiły jeszcze animusz wszystkich.

Wtem spoważniał dowódca... Wszedł na podwyższenie i nakazał spokój. Podniesionym już głosem począł znajomym i wybranym rozdzielać czynności, polecając spisywać zgromadzonych, klasyfikować przybyłych, a zbyt młodych i niezdolnych do ciężkich przejść partyzantki odsyłać zaraz do domów. Ileż to było wtedy wśród tej działy niezadowolenia, smutku, nawet rozpacz!

Rychło potworzyły się grupy i grupki przyjaciół. Wybie-rano swoich przedstawicieli, komendantów, starszych i oficerów, którym nakazywał Śmiechowski za zgłoszeniem się wydawać broń i amunicję. Ach, jak różną była, niestety, broń ta od owej, którą powinniśmy byli mieć dla stawienia czoła zastępom rosyjskim? Nikt jednak nie gorszył się w tej chwili zapah, nikt

nie sarkał na dubeltówkę myśliwską na ptaszki, na związaną szpagatem pojedynkę, na szablę bez pochwy, lub nieoprawioną kosę; każdy zaś natomiast szczęśliw był, iż bodaj z drakiem, lub gołą pięścią będzie mógł znaleźć się w szeregu.

Po kilku godzinach jał siwowąsy dowódca formować z tego chaosu plutony i kompanie, które zrazu tworzyły tylko gromadki, nie mające pojęcia, jak stapać w marszu, jak dzierżyć broń w dłoni, a tembardziej broń tak różnorodną! Na drugi dzień pobytu naszego w lesie, czynność przygotowawcza już była ukończoną: mieliśmy zastęp piechoty i kawalerię w kilkanaście, czy też dwadzieścia parę koni, razem około 250-iu ludzi. Naczelne dowództwo objął Śmiechowski, szefem sztabu Bronisław Ryx, komendantem kawalerii śmiały, energiczny, zuchwały zawadyaka, Julian Bajer. Pod nim to służyli w szeregu: Daszewscy Aleksander i Antoni, Jaszowski Władysław, Jasieńscy Antoni i Bolesław, Kapliński Bolesław, Kłoczowski Bolesław, Kubicki, Miniewscy Józef i Władysław, Olędzki Władysław, Schmidtowie Bolesław i Henryk, Skrzyński Ludwik, Świętorzecki Bolesław, Szyndler Józef, Urbanowski Stanisław, Wilski Józef, Włodek Józef i kilku jeszcze, których nazwiska uszły z mej pamięci.

Wyruszyliśmy pod Lesznówolę... Tam to odebrała pierwszy chrzest nasza kawaleria, odbiła bowiem konwojowi eskortowanych do wojska rekrutów, wcielając ich jako ochotników do naszego oddziału. Dowiedziawszy się z ust należącego do organizacji dr. Majkowskiego, iż w Grójcu stoi załoga tylko 25-iu kozaków, postanowiliśmy uderzyć na Grójec. Atak miała wykonać w 15 koni nasza kawaleria, podczas gdy piechota, ukryta we wsi Krobów, wyczekiwała dalszych rozkazów.

Bezpośrednio przed Grójcem natknęliśmy na kozacką pikietę, na trakcie, przed stajnią, która wypaliwszy do nas z janczarki, poczęła wrzeszczeć: „trewoga! trewoga!“ i marsz, marsz, uciekać do swoich. I my puściliśmy się wtedy cwałem i wpadli na plac, oddzielający stajnie od kwater kozaków, aby nie dopuścić żołnierzy do koni. Kozacy poczęli zasypywać nas z okien gradem kul, lecz te świstały tylko nad naszymi głowami. Zmierzyłem się z rewolweru do jednego brodacza, który strzelał do nas z przed domu, lecz rewolwer był tak doskonały, iż kilkanaście razy „kłapnął“, zanim wypalił raz jeden. Ostatecznie uspokoiłem kozaka tak, że nas nie atakował już więcej.. Drugiego, który dobierając się do stajni, mierzył janczarką w moje piersi, ugodziłem silnie wielkim nożem, jaki miałem zamiast pałasza na pendencie ze sznurka; ustąpił i zniknął z mych oczu.

Wtem słyszę komendę: „z konia!“ Rozejrzałem się w ciemności i oto widzę oddalające się cienie i nawoływanie: „nie ujdiesz“... Przypuszczając, że nasi gonią kozaków, pogalopowałem za nimi, lecz jakież było me rozczarowanie, gdy dowiedziałem się, że błędnie zaalarmowani, pędziliśmy wśród nocy za widmem.

Przyszło tedy wracać ze wstydem do rezerw. W Grójciu poległ jeden kozak, trzech było rannych, a oficer z dwoma kozakami przetrwał napad, ukryty w suchej studni.

Nasz oddział posunął się ku Białobrzegom, gdzie spaliliśmy most na Pilicy, ćwicząc się potem w mustrze, władaniu bronią palną i kosami. Staczaliśmy przytem drobne utarczki z kozactwem. W jednej z nich poległ nasz kochany kolega, Józef Szyn-dler.

Za zbliżeniem się ku Rawie, przeszliśmy pod komendę Antoniego Jeziorańskiego, a następnie, pod Małogoszczą, pod naczelną komendę dyktatora, Maryana Langiewicza, z którym dzieliliśmy odtąd — podobni coraz bardziej do regularnego żołnierza polskiego — losy dalszej partyzantki.

Dwóch już tylko nas żyje z formacyi oddziału pod Wolą Prażmowską: Bolesław Jasieński i niżej podpisany. Inni, szczęśliwsi, zginęli w walce, ożywieni nadzieją lepszej dla Polski przyszłości, drudzy przechodzili katusze w więzieniach i na Syberyi, jeszcze innym nie szczędził los ciężkiej nieraz na swobodzie mitemi, gorzkiego życia bez jutra. Wyczekiwali chwil jasnych — nadaremnie.

Serdecznym druhom po broni i doli poświęcam niniejsze wspomnienie...

Józef Nieczuja Miniewski.

c) Szwadron „gniadych“.

Wskutek złączenia się oddziałów Józefa Śmiechowskiego i Antoniego Jeziorańskiego, powstał pokaźny zastęp kawalerii, dowodzonej przez Juliana Bajera, a dzielącej się na cztery szwadrony, podług maści koni.

Był więc pierwszy szwadron „gniadych“, pod rotmistrzem, późniejszym pułkownikiem, Józefem Miniewskim; był dalej szwadron „kasztanów“ Nowaka; szwadron „siwych“ z rotmistrzem Łukaszem Dobrzańskim, wkońcu szwadron „karych“, któremu przewodził Stanisław Jaszowski. Ten ostatni zginął śmiercią walecznych pod Małogoszczą. Komendę szwadronu objął po nim Jan Prędowski.

Po wcieleniu naszych oddziałów do korpusu dyktatora Langiewicza, zwiększył się jeszcze zastęp kawalerii o komendę pułkownika Ulatowskiego, a wtedy poddano one dwie komendy, Bajera i Ulatowskiego, pod rozkazy generała Józefa Czapskiego.

Służyłem w szwadronie „gniadych“. Składał się on niemal z samej inteligencji. Z kolegów moich pamiętne mi są nazwiska takich suchów, jak: Bagniewski, Karol Czachowski, Kazimierz hr. Czapski, Borys hr. Czosnowski, Aleksander Daszewski, Antoni Daszewski, Antoni Jasieński, Bolesław Jasieński, Bolesław

Kapliński, Kłoczowski, Kubicki, Władysław Łała, Ludwik Miecznikowski, Władysław Olędzki, (który poległ w oczach moich pod Małogoszczą), Bolesław Schmidt, Henryk Schmidt, Ludwik Skrzyński, Bolesław Świętorzecki, Józef Szyndler, (ten padł pod Lubochnią), Stanisław Urbanowski, Józef Wilski, Włodek, Waleryan Wolski (późniejszy szef straży narodowej), Adam Zagórski, Zawadzki, Żabski i inni.

Po krótko trwającej potyczce na polach Lubochni, w której zręcznym odwrotem wycofaliśmy się szczęśliwie z nastawionej pułapki i oparli licznym siłom przeciwnika, po kilku innych utarczkach nadeszła walna rozprawa pod Małogoszczą... Kawalerya Bajera stała tutaj na lewym skrzydle pozycji, zajętej przez połączone oddziały Jeziorańskiego i Langiewicza. Moskwa prażyła nas karabinowym ogniem, wyrządzając straszne spustoszenia wśród szeregów. Co chwila usuwano zabitych, lub rannych, a komenda: „ścieśnij szeregi!“ zapełniała pozostające po nich luki.

Tu, jak się rzekło, polegli między innymi Olędzki i Jaszowski od kul moskiewskich, nie doczekawszy się nawet prawdziwego wiru walki. Pierwszy, trafiony w pierś kulą, trzymał się chwilę nieruchomo w siodle, aż nagle zsunął się z konia i zakończył chlubne życie. Drugi żył po strzale kilka jeszcze minut i prosił, aby pożegnać jego żonę i ukochane dzieci.

Langiewicz rozkazał teraz Ulatowskiemu rzucić się na linię piechoty rosyjskiej; ten oparł się wszakże poleceniu, twierdząc, że siły jego jazdy, nie sprostają zadaniu. Wyznaczono więc ku temu nasz pułk Bajera, wszakże tylko „na ochotnika“... Wyszło się nas około 35-ciu, a na czele Bajer, Włodek i Świętorzecki, na najlepszych w szwadronie koniach. Szarża acz tak małej garstki, dokonała przecie swego. Dwa bataliony nieprzyjacielskie, sformowane w czworoboki, wstrzymały szalonego natarcia, postępujący zaś za nami oddział kosynierów mógł tem łatwiej podsunąć się naprzód i odbić zabrane nam przez Moskwę śmigownice. Odznaczył się przytem chłop, rzekłbyś, drugi Głowacki, zamianowany zaraz za waleczność oficerem kosynierskim. Nazwiska jego nie pomnę, — wiem jednak, iż rychło zastrzelony został w jednej z następnych bitew.

Wracając po szarży tej do szeregów, zauważyliśmy brak rotmistrza Miniewskiego... Kochała go i szanowała wiara, gdyż jakkolwiek w służbie surowy, troskliwym był i przyjacielskim wobec podkomendnych. Przytem przodował zawsze odwagą i gorliwością w pełnieniu obowiązków, to też nie dziw, iż doszedł wkrótce do stopnia pułkownika.

Myśl, iż Miniewski zginął przy ataku, przejęła nas trwoga. Jakby dziaćwa utraciła ojca. Spoglądamy więc w popłochu ku linii bojowej i oto... widzimy, jak nasz rotmistrz z prawdziwą pogardą życia ściąga siodło z zabitego swego wierzchowca.

— Czy oszalał?! — wołamy — zamiast spieszyć do swoich, zabawia się w zdejmowanie siodła!

Wtem rozpryskuje się obok Miniewskiego ziemia od ciśniętej, jakby na waletę, kuli kartaczowej, a on pada jak długi...

— — —
Zatrąbiono do odwrotu.

Wycofawszy się za linię strzałów, porządkujemy w grobowem milczeniu szeregi. Fantazyja odleciała wszystkich. Aliści... nagle przypada do nas jeździec bez czapki, na oklep... na białym koniu...

Miniewski...

Obryzgany, zwalany ziemią, z obwiązaną, beżwładną wskutek kontuzyi lewą ręką, i skontuzyowaną również nogą — lecz pozatem żyw i cały.

Uratowało go siodło, które niósł na ramieniu. Kłapa siodła, leżąc na kapturze burki, była mu puklerzem, tak, że rykoszet kartaczowy nie zgruchotał kości. Twardy!

Zygmunt Niesobia Kępieński.

Wyprawa Miniewskiego. (Z cyklu: Z dymem pożarów).

Szli do Królestwa.

Niezaradność organizacyi cywilnej wystąpiła w całej pełni. Pułkownik Józef Miniewski, mianowany komendantem wyprawy miał słuszny powód do narzekań. Przybywszy z pułkownikiem Nullem, żołnierzem Garibaldowskim i kilku Włochami, którzy przybyli walczyć za sprawę Polski, na punkt zboru w Panieńskich skałach pod Krakowem, nie zastał tam już nikogo. Ochotnicy z przewodnikami, obawiając się nadejścia żandarmów i wojska austriackiego, wyruszyli do lasów tenczyńskich, gdzie były zakopana broń, amunicya i inne rekwizyta wojskowe.

Pułkownik Miniewski kierując się mapą tylko, kołował noc całą i o świcie dnia 3. maja 1863 r. połączył się wreszcie z przyszłymi powstańcami. Zastał na miejscu około sześciuset ochotników, nie było jednakże oficerów. Organizacya cywilna zapomniała całkowicie zawiadomić ich o dniu wymarszu.

Cały ciężar zorganizowania oddziału spoczął na barkach Miniewskiego, gdyż pułkownik Nullo, mianowany przez Miniewskiego szefem sztabu, nie znał języka polskiego i zajął się jedynie sprawami legii zagranicznej złożonej z jakich trzydziestu Włochów i Francuzów.

Dzień cały zeszedł na naprawianiu broni i rozdzielaniu jej i efektów pomiędzy żołnierzy. Czekano również na dostawienie dwóch armat, zakupionych przez Miniewskiego jeszcze w Krakowie, zapomnianych oficerów, furgonu pod rekwizyta i koni dla kawalerji.

O godzinie 11-tej w nocy zjawił się w obozie hrabia Adam Potocki.

Udał się wprost do Miniewskiego.

Hrabia był straszliwie zaaferowany.

— Zlituj się pułkowniku — zaczął — przechodź natychmiast kordon graniczny! Austriacy wiedzą o was, wojsko jest już skonsygnowane, otoczy was i wybierze jak ryby z sieci.

Miniewski uśmiechnął się ironicznie.

— Pięknie to się mówi panie hrabio: przechodź granicę! Proszę mi jednakże powiedzieć — z czym? Niema oficerów, brak koni, a co najważniejsze — ładunków i pistonów.

Potocki złożył ręce.

— Są przecież Lesiński, Grudziński, Giżycki i Czapski — wreszcie Nullo z włoskimi oficerami.

— Za mało ich na oddział liczący przeszło sześćuset ludzi. Co zaś do Włochów, to ci chyba na migi będą komenderować.

— Mimo wszystko wychodźcie! Przyrzekam wam solennie, że wszelkie braki natychmiast zostaną wam za kordon dostarczone.

Wobec tak uroczystego zapewnienia, Miniewski nie wahał się dłużej i wydał rozkazy do pochodu.

O świcie przekroczono kordon graniczny.

Miniewski, korzystając z lesistej okolicy, zezwolił na chwilowy odpoczynek, lecz zaledwie znużeni powstańcy usiedli, huknęły wystrzały i ukazała się cała czereda kozaków.

Jedna kompania strzelców poszła w tyraliery. Naczelnik nakazał jej, ażeby w razie nadejścia piechoty moskiewskiej cofała się ku swoim, sam zaś z resztą oddziału pomaszerował o kilka kilometrów dalej, gdzie zajął dogodniejszą pozycję.

Jak przewidział, tak się też stało. Moskale, spodziewając się zastać oddział powstańczy w miejscu przez kozaków wskazanem, zaatakowali ową kompanię, jako grandgardę pozostawioną. Był ich cztery rotы piechurów i secina kozactwa.

Strzelcy polscy odstrzeliwując się, ustępowali ku głównym siłom.

Utarczka stawała się coraz żywszą, Moskwa napierała coraz zwawiej.

Trzeba było iść w pomoc strzelcom, borykającym się z przeważnemi siłami Moskali.

Miniewski zdawszy komendę nad oddziałem Nullovi, porwał zaawów Lesińskiego i strzelców Czapskiego i poprowadził ich przeciwko Moskwie.

— Naprzód! — padła komenda.

Młody żołnierz natarł z całym zapalem. Uniesienie i ochota wzięły górę nad wyćwiczonymi sałdatami. Powstańcy szli na

bagnety jak do tańca. Młody Stanisław Załuski przodował w tych atakach, wreszcie padł ciężko ranny.

Moskwa, zdumiona tą odwagą i natarczywością świeżo zaciężnych ochotników, ustąpiła z placu, unosząc swoich rannych i zabitych.

W tryumfie wracano z pobojowiska. Pułkownik Nullo, który nie brał udziału w tem starciu, wyjechał na spotkanie wracającej kolumny i winszował jej zwycięstwa.

Zajęto się rannymi — opatrzone ich i korzystając z bliskości granicy wyprawiono ich do Galicyi.

W jaką godzinę po bitwie przybyli zapomniani oficerowie. Armat jednakże, furgonów i koni organizacya nie dostawiła.

Oficerami tymi byli Alfred Bogusz, Listopad, Alfons Didier, Czosnowski, Czaderski, Szybalski i kilku innych.

Miniewski poprzydzielał nowoprzybyłych do ich komend, zaś jedną kompanię, pod komendą kapitana Wierzbickiego, wysłał ku granicy galicyjskiej, w nadziei, że organizacya brakujące rzeczy dostarczy.

Czekano godzin kilka.

Nadzieja zawiodła.

Nietylko, że przyrzeczonych rekwizytów nie przysłano, lecz na dobitkę złego, kompania rekonesansowa widząc się w pobliżu granicy, przekroczyła ją i najspokojniej powróciła do Galicyi.

Była już 5-ta popołudniu.

Czekać dłużej było niepodobieństwem. Moskale mogli się pojawić w każdej chwili.

Ruszono dalej.

Oficerowie Kazimierz Czapski i Borys Czosnowski ofiarowali swoje konie pod furgon z rekwizytami, kawalerya natomiast szła pieszo, dźwigając siodła na plecach. Pochód był nad wyraz uciążliwy — kolumna obarczona pakunkami i bronią zapasową posuwała się zółwim krokiem.

Dopiero późnym wieczorem powstańcy zajęli parę szkap chłopskich, na które złożono rysztynek i oddział odzyskał swobodę ruchów.

Wreszcie zatrzymali się opodal folwarku Krzykawka zwanego, położonego w pobliżu Sławkowa. Żołnierz z sił opadł — postanowiono odpocząć na tej pozycji. Dwa marsze nocne i dzień bitwy wyczerpały młodych ochotników do najwyższego stopnia.

O świcie, nie mając żadnych prowiantów, zażądał Miniewski od zarządu folwarku dostarczenia żywności. Wysłany oddział furazerów nic więcej nie dostawił prócz furi ziemniaków i jednego worka pećaku. Trzeba było pożywić się tem, co Bóg dał.

Wiara zajęła się ustawianiem kotłów i rozpaleniem ognisk, zaś pułkownik dosiadł konia i objechał pozycję dookoła.

Stanowisko było dogodne. Obóz opierał się o las, wzdłuż którego biegł wał, mogący być dla powstańców doskonałą ochroną przed nieprzyjacielem.

Pułkownik zadowolony powracał do obozu.

Słońce stało wysoko na niebie — pułkownik podniósł głowę do góry i ujrzał hen w dali, na gościńcu wiodącym do Krzykawki, tumany kurzu, nad którym migotały lśniąco światełka.

To promienie słońca grały na ostrzach bagnatów...

Miniewski podniósł lunetę do oczu, lecz wnet ją opuścił i galopem popędził do obozu.

— Moskale! — rzekł do siebie.

Zwrócił konia ku miejscu, gdzie obozowała legia cudzoziemska.

Pułkownik Nullo, podłożywszy płaszcz pod głowę, spał jak zabity, również towarzysze jego chrapali w najlepsze.

— Signori! — huknął Miniewski — mamy Moskali na karku!

Obudził się stary Garibaldczyk i przetarł zaspane oczy.

— Oui! — rzucił przez zęby.

— Rosyanie nadciągają!

Nullo powstał z posłania.

— Ach, lajdaki! — zaklął gniewnie — nie dają nam chwili spoczynku!

Wydobył lusterko z kieszeni, przeczesał włosy i swoją kosią bródkę, poczem wychyliwszy kielich siwuchy podszedł do kotła i zagryzł ją pęciakiem.

Legia cudzoziemska zajęła stanowisko w środku linii bojowej, pułkownik Nullo stanął na jej czele.

Na prawem skrzydle uszykowali się żuawi, pod wodzą Lesińskiego, i część strzelców, dowodzona przez Czapskiego. Komendę lewego skrzydła powierzył pułkownik majorowi Grudzińskiemu.

Moskale nadchodzili.

Daleko za folwarkiem ustawiły się rezerwy rosyjskie, złożone z piechoty i kawalerii, zaś batalion jeźdźców, idący w zbitej kolumnie, ruszył ku stanowiskom powstańców.

Trąbki zagrały na całej linii.

Kniaź Szachowski, naczelnie dowodzący Moskalami, skierował atak na prawe skrzydło polskie.

Lesiński i Czapski przygotowali się dobrze na ich przyjęcie. Czapski z obnażoną szablą w dłoni, z poza pnia sosny obliczał siłę moskali — jego strzelcy, trzymając broń przy twarzach, oczekiwali sygnahu.

— Strzelać najpierw do oficerów — mówił Czapski — a potem do sygnalistów!

Rozległo się przeciągłe „urra“! — szturmowa kolumna biegiem ruszyła naprzód, strzelając bezustanku.

Trel gwizdawki powstańczej pobiegł po całej linii prawego skrzydła.

Zagrzechotały karabiny.

Ogień powstańczy zionął niechybną śmiercią. Kilkanaście trupów moskiewskich zaległo ziemię.

— Hej, bratku, wszyscy tu poginiemy! — krzyknął któryś ze żołdatów — nazad!

Front zawrócił, jakby na komendę i w niepowstrzymanym pędzie zaczął uchodzić. Major, dowodzący batalionem, biegł z tyłu, krzyczał, płazował, groził, ale to wszystko było daremne — zdjęci paniką żołnierze dopiero poza doniosłością strzałów dali się zatrzymać.

Batalion rosyjski rosypał się teraz w tyraliery i zajmując małe krzaczki, rozpoczął prawidłowy ogień na front powstańczy. Niektórzy ze żołdatów kopali sobie rowy, aby mieć osłonę przed kulami.

Obie strony dzieliła przestrzeń jakich trzystu kroków, jednakże wizery u karabinów moskiewskich musiały być nastawione na dalszą metę, gdyż kule przenosiły, ścinając tylko gałęzie drzew w pobliskim lesie.

Powstańcy, ukryci za wałem, nie narażając się zbytnio, strzelali na upatrzonego. Miniewski przebiegał wzdłuż łańcucha tyralierskiego, zagrzewając żołnierzy do męstwa i spokoju.

Ogień szedł z za wału w największym porządku.

Z powstańców nikt nie był dotychczas tknięty nawet, natomiast Moskale ponieśli dotkliwe straty.

Pułkownik Nullo stał za łańcuchem swojej legii. Jednostajna, kilkugodzinna strzelanina, zniecierpliwiła gorącego Włocha. Miniewski nie miał czasu objaśnić mu sytuacji, stary Garibaldeczyk sądził, że ma przed sobą wszystkie siły moskiewskie.

W końcu nie wytrzymał.

— „Per Baccho“! — wykrzyknął — dość tej strzelaniny. Rozbijemy tych Azyatów! Na bagnety!

Legia zagraniczna porwała się z miejsca jak jeden człowiek — za jej przykładem poszli polscy powstańcy.

Wybiegli na szczyt wału.

— „Avanti“! — wrzasnął Nullo.

Pułkownik Miniewski, który wiedział dobrze, że za zabudowaniami Krzykawki kryją się liczne oddziały moskiewskie, które czychają jedynie na sposobność wywabienia powstańców w otwarte pole, przyskoczył w tę stronę.

— Stojcie na Boga! — wołać począł — Moskale wystrzelają was do nogi!

Końcem szabli wskazał Nullovi zabudowania folwarku i podał mu lunetę.

Następnie zwrócił się do powstańców.

— W tył, w tył! Nazad za wał!

Opamiętał się Nullo i cofnął konia. Jednakże było już za późno. Grad kul moskiewskich posypał się na szeregi powstańcze. Legł kapitan Żelechowski i kilku szeregowców, koń Nulla, w chwili gdy pułkownik zjeżdżał z wahu, otrzymał śmiertelny postrzał i padł na ziemię, przywalając jeźdźca.

Kilku żołnierzy pobiegło pułkownikowi z pomocą.

Pierwszy dopadł go porucznik Pihuziński, któremu w poprzedniej bitwie, w Olkuskich lasach stoczzonej, kula obcięła koniec dwóch palców u ręki.

I traf dziwny. W chwili, gdy chwyciwszy Nulla pod ramiona, wydobywał go z pod konia a, trafiła go druga kula i obcięła mu te same palce wyżej nieco.

Ta sama kula odszukała serce bohatera włoskiego. Nullo pobił straszliwie, zatrzepotał rękami, okręcił się i wyrzekł:

— „Sono mort“!...

To były jego ostateczne słowa — dzielny Garibaldiczyk z głuchym jękiem runął na ziemię.

Bolesny okrzyk wyrwał się z piersi Włochów.

Nie było czasu na roztkliwianie się. Miniewski pogalopował na lewe skrzydło i pchnął kompanię strzelców Bogusza na flanki nieprzyjacielskie.

Zaledwie Bogusz wychylił się z lasu, tyralierzy moskiewscy, porzucając broń i rańce pierzchnęli do swoich rezerw.

Bój ustał — kompania Bogusza obladowana porzuconą przez Moskali bronią, wracała do swoich. Zdobyć ta na nic się jednakże nie przydała, bo i swoją broń zapasową powstańcy zakopać musieli, gdyż wóz, na którym ją wieziono, połamał się, zaś chłop woźnica, korzystając z wirwaru wojennego, uciekł wraz z końmi.

O wypoczynku myśleć nie można było, bowiem Miniewski, obserwując ustawione za folwarkiem wojska, dojrzał, że Moskale oddzielili znaczną kolumnę, ażeby obeszła las i zajęła powstańcom tyły, których dla braku sił odpowiednich, niepodobna było zabezpieczyć.

Pułkownik nakazał odwrót, kierując się w głąb Królestwa.

Cały oddział wkroczył do lasu — Włosi pozostali jeszcze, aby pogrzebać swojego dowódcę.

Po dłuższej chwili nadeszli Włosi, żądając widzenia się z Miniewskim.

Pułkownik stanął przed nimi.

Jeden z Włochów wystąpił ze szeregu.

— Pułkowniku — rzekł — jesteśmy wyczerpani, opadamy ze sił, zresztą nie mamy tu co robić, dowódca nasz zabity. Każ nas odstawić do granicy galicyjskiej.

Miniewski wzruszył ramionami.

— Jeśli dowódca wasz zabity, zamianuję wam innego — odparł. — Kapitanie Pissaferi — zwrócił się do jednego z oficerów włoskich — obejmiesz komendę nad legią!

Pissaferi skinął głową.

— Moi panowie — ciągnął pułkownik dalej — zadość uczynić waszemu żądaniu jest fizycznym niepodobieństwem. W tej chwili jesteśmy odcięci od granicy. Jak na starych żołnierzy przystoi, pójdziecie w aryergardzie.

Oddział powstańców wyszedł z lasu na otwarte pole. Jakby na potwierdzenie słów pułkownika huknęły wystrzały.

Obchodowa kolumna moskiewska dopędziła powstańców i z lasu poczęła ich prażyć gęstym ogniem.

Włosi, idący w aryergardzie, odpowiedzieli wystrzałami.

W szeregach powstańczych wszczął się nieład. Pod silnym ogniem moskiewskim ustępowano pośpiesznie w stronę w pobliżu płynącej rzeki Przemszy. Gdy wreszcie dotarli do jej urwistego brzegu, młodzi żołnierze jeli skakać do wody, usiłując przedostać się na drugą stronę. Nie pomogły nawoływania oficerów, ochrypłych od krzyku i płazowania szablami. Miniewski z trudem zebrał kilkudziesięciu mężniejszych i usadowiwszy się nad brzegiem rzeki, na ich czele stawiał nadciągającym Moskałom zacięty opór.

Legia zagraniczna nie dotarła do brzegów Przemszy. Idąc w aryergardzie, natknęła na wodza nieprzyjacielskiego, księcia Szachowskiego, jadącego lasem z dwoma kozakami. Włosi, miast skorzystać ze sposobności, i wziąć go do niewoli, broń przed nim złożyli przypuszczając, iż Szachowski odstawić ich każe do granicy galicyjskiej.

Oszukali się grubo.

Szachowski oddał ich piechocie i biedni Garibaldezcy, poszturkiwani kolbami, dostali się do więzienia w Olkusz, a stamtąd na Sybir.

Noc zapadła — pościg moskiewski ustał, Miniewski ze zdemoralizowanym oddziałem, zatrzymał się na chwilowy wypoczynek. Zebrała się rada wojenna.

Wszyscy oficerowie oświadczyli zgodnie, że z powodu znużenia żołnierzy, jakoteż braku amunicji, dalszy pochód w głąb Królestwa jest niepodobieństwem.

— Wygubią nas w zupełności — zakończył młody kapitan Bogusz. — Jestem za natychmiastowym powrotem do Galicyi.

Nikt nie oponował. Oficerowie przyznali słuszność jego wywodom.

Jeszcze jedna noc zeszła powstańcom w marszu. Boczniemi drożynami przesunęli się obok Olkusza, opuszczonego w tej chwili przez Moskali, gdyż cała załoga moskiewska wyszła z miasta, i o świcie dotarli do granicy galicyjskiej.

Broń oddano do przechowania komisarzowi pasu nadgranicznego, poczem oddział rozlokowano po okolicznych wsiach i miasteczkach. Część powstańców bocznemi drogami powróciła do Krakowa.

Stara stolica królów polskich płakała łzami krwawemi. Trzy zmarnowane wyprawy, trzy klęski!

3-go maja klęska oddziału Mierosławskiego pod Igołomią, 5-go maja odwrót Miniewskiego z pod Krzykawki, 7-go maja zupełne zniesienie trzeciego oddziału pod Szycami.

Miasto drżało.

Przez ulice starego grodu patrole austriackie wiodły schwytanych powstańców i z głuchym turkotem toczyły się podwody chłopskie, wyścielone słomą, pozostawiając za sobą ślady krwi. Czasami ze słomy wychyliła się obandażowana głowa powstańca, czasami ktoś jęknął boleśnie...

To zwozono rannych z pod Igołomii, Szyc i Krzykawki.

Kraków w czern się stroił, po kościołach modlono się za poległych...

Tadeusz Zubrzycki.



ROZDZIAŁ V.

LISTY OTWARTE.

Do

Jaśnie Wielmożnej Heleny z Okszów Dylewskich
baronowej Ziemialkowskiej.



rzypadkiem przeczytawszy pamiętniki wydane przez Panią w r. 1904 z zapisek ś. p. męża Floryana Ziemialkowskiego ułożone, nie mogę powstrzymać się, by z oburzeniem nie odeprzeć niegodnych i oszczerczych napaści w nich sfabrykowanych.

Szkoda że Pani już się nie wstrzymała z wydawnictwem tych pamiętników, aż wszyscy w nich spotwarzeni wymrą, bo rzecz jasna, wówczas już nikt reagować by nie mógł, znajdując się w ziemi, nie czuły na zawiści i potwarze nań miotane. Ja żyjąc jeszcze, nie mogę pokryć milczeniem, oszczerczych zarzutów mnie czynionych, w tym karygodnym zbiorniku!

Dla tego zaznaczam:

Ś. p. Floryana Ziemialkowskiego nie miałem szczęścia znać osobiście. Wprawdzie mianowanym był komisarzem dla mego oddziału, tak jednak gorliwie i umiennie urząd swój pełnił, żem go nie miał zaszczytu poznać; wszystkie zaś epizody, które podaje z bytności u mnie lub rozmowy — są zupełnie sprzeczne z prawdą i te wysnuwa tylko z fantazyi, którą mu w czasie pobytu w więzieniu, zwątpiała i zgorzkniała wyobraźnia dostarczyła.

Kto tylko z uwagą przeczyta te pamiętniki, łatwo nabierze przekonania, że autor, gdy mu chodzi o spotwarzenie kogoś nienawistnego, lub który z nim miał jakikolwiek stosunek nie zwraca uwagi na to co sam za prawdę podaje, lecz wbrew temu, zarzuty czyni i zbija to, co napisał.

Wydając po ś. p. mężu te zgorzkniałe karygodne ramoty, oddała mu Pani niedźwiedzią przysługę, wykazując ujemną stro-

nę charakteru, o której z publicznej jego działalności nie można było sądzić.

Przypuścić należy, że śp. Floryan wyszedłszy z więzienia nie czytał swych pamiętników, które tam pod wpływem rozdrażnienia i rozgoryczenia napisał, a w każdym razie nieprzeznaczył do druku — inaczej wydałby je za życia — wówczas jeszcze, gdy większa liczba tych spotwarzonych żyła i mogła się legalnie bronić lub milcząco przyznać. Obecnie mała jest liczba osób z tych czasów pozostała — między nimi jednak podpisany, upomnieć się musi, o niegodziwą krzywdę w tak hańbiący, nieprzewidziany sposób mu wyrządzoną. Wprawdzie wielu z życziwych utrzymuje, że powinien się szczerzyć, będąc zaliczonym do grona osób prawdziwie Ojczyźnie zasłużonych — które ś. p. Floryan niesumienie, bezpodstawnie oskarża, chyba dla tego, żeby siebie oczyścić lub wywyżżyć!

Jak zaznaczyłem ś. p. Ziemiałkowskiego nie znałem. Wydział lwowski W. N. zawiadomił mnie w końcu miesiąca czerwca 1863 r., że p. Ziemiałkowski jest przeznaczony na komisarza wojennego przy organizacyi mego oddziału — lecz znałem tylko p. Wasilewskiego, z którym się znośilem i z którym w stosunku bardzo życzliwym pozostawałem; p. Ziemiałkowskiego nie widziałem, ani nie czułem, by się organizacją zajmował. Jak zaś ten urząd sprawował, to jego pamiętniki wskazują — bo o wszystkim — co powinien wiedzieć i sprawdzić osobiście, wie tylko, sądzi i za prawdę podaje, co mu doniesiono. W razach krytycznych, gdy być przy oddziale powinien, zawsze jakaś przeszkoda uniemożliwiała jego obecność, chwile które podaje jakoby miał ze mną styczność, są niezgodne z prawdą albowiem:

1) od Wasilewskiego wyjeżdżałem, gdy tam nikogo prócz mnie, mego szefa sztabu A. Bogusza i Wasilewskiego nie było. 2) Do Lwowa nie wracałem z oryginałem Zdzisławem Boguszem ani 3) żadnych nieporządków nie było na wieść o rozbiciu Wysockiego i Horodyńskiego w zebranej pod moją komendą rzeszy. owszem, z wielkiem zadowoleniem przyjęto wiadomość, że oddziału rozpuszczać nie myślę, a dalej organizować go, do przejścia granicy. — Na poparcie ostatniego twierdzenia przytaczam urywek z listu, ze wszech miar na wiarę zasługującego żyjącego świadka Wgo Dr. Antoniego Gołkowskiego prof. gimn. w Sanoku, a wówczas kuryera i adjutanta Gen. Wysockiego z ową depeszą do mnie przysłanego, ten pisze: „od chwili odwrotu i zajęcia komory granicznej musiałem zawieść depesze pisane do komisarza wojennego p. Floryana Ziemiałkowskiego w Sienkowie, u p. Tadeusza Wasilewskiego, gdzie miał być także komisarz wojenny p. Adam ks. Sapieha. Tylko z Ziemiałkowskim mówiłem. — Od Ziemiałkowskiego zawiozłem depesze listowne do naczelnika oddziału Miniewskiego, którego zastałem gdzieś na kraju lasu obozującego. Żołnierze w obozie bez broni, naczelnik oddziału w kurtce szaraczkowej bez odznak, razem z żołnierzami w trawie,

jakby czekał na coś. Młoda, czerstwa i wesoła twarz naczelnika uderzyła mnie, z twarzy bił spokój i otwartość. Z obozu Miniewskiego zawiozłem zlecenie pisemne do Ożydowa, do Karola Hubickiego i dowiedziałem się, że oddział Miniewskiego nie miał broni, niedostarczono broni i dla tego nie ruszył pod Radziwiłów. Jestto przekleństwo nad nami, że nawet rozbitki starce, na drugich napadają i ani sami, ani drugim nie dadzą zamknąć oczy w spokoju i to robią ci ludzie, którzy za młodu ochoczo przelewali krew za Ojczyznę. Mojem zdaniem p. Pułkownik nie ma zważać na szkalowanie tych ludzi. Łączę serdeczne pozdrowienie i wyrazy szacunku i poważania, powolny Antoni Gólkowski mp. Sanok 27./X. 901 r.“

Z powyż przytoczonego listu przekonać się można, że w chwili przybycia kuryera od Wysockiego, do mego obozu — ś. p. Ziemiałkowskiego w obozie nie było — i że żadne opisane nieporządki na wieść o rozbiciu Horodyńskiego i Wysockiego miejsca nie miały.

Na Str. 169 zeszyt III. w pamiętnikach czytamy: „Wtedy Miniewski stawiony przed sąd wojenny nie stawił się uciekł“ etc. Własnoręcznem pismem ówczesnego prezesa Sądu wojennego, pułkownika Strusia, stwierdzam, że to jest fałszem i że mnie nikt nawet nie myślał do odpowiedzialności pociągać, a zawiadomiony, że komisya ma być u mnie, celem wyjaśnienia sprawy wyprawy Radziwiłowskiej, na takową oczekiwałem i takowej wszelkich wyjaśnień, przedkładając dowody dostarczyłem. Pismo ówczesnego prezesa sądu wojennego w dosłownym brzmieniu jest następujące:

„Do J. W. P. Pułkownika Józefa Miniewskiego. J. Wielmożny Panie Pułkowniku Jako prezes Sądu wojennego nad Jenerałem Wysockim, po jego wyprawie na Radziwiłów, oświadczam, że między innymi dokumentami miałem raport p. Pułkownika o przyczynach jakie spowodowały Pana, żeś nie wyszedł z oddziałem za granicę, na pomoc Wysockiemu, ale przyczyny te zostały uznane za zupełnie usprawiedliwujące Pana, a obwiniające komitet, który kierował wyprawą i przygotowywał wszystko dla oddziałów. Nikomu i przez myśl nie przechodziło do pociągania p. Pułkownika do odpowiedzialności za to co się stało. Z wysokiem poważaniem I. Stella Sawicki b. pułk. Struś mp.“. Własnoręczność pisma i podpisu pułkownika Strusia stwierdzają: Józef Męciński prezes Tow. wzaj. pom. ucz. powst. polsk. 1863/4, Wojciech Biechoński wiceprezes, Władysław Szyszkowski zastępca prezesa.

Ponieważ komisya złożona z pp. pułkownika Strusia i Tadeusza hr. Tarnowskiego uznała czynność ze mną za ukończoną — tego samego dnia wyjechałem ze Lwowa koniemi do Gródka, a stamtąd do Reinertz, w Szlázku pruskim, bo policya zanadto energicznie zabrała się, by mnie dostać, a dostawszy, bezprzecznie wydano by mnie Moskwie, jako oficera inżynierów wojennych,

wojska rosyjskiego, na dwa lata przed powstaniem mianowanego, a nie exjunkra,, chyba z nominacyi ś. p. Ziemiałkowskiego — bo tej rangi nigdy nie piastowałem, a czego dowód w początkowym odpisie tłómaczenia wierzytelnego mej dymisyi, które brzmi : L. 4740/62 według ukazu jego wielkości panującego Cesarza Aleksandra Mikołajewicza, samodziérzcy rosyjskiego itd. itd. okaziciel niniejszego, służący w 4-tym batalionie saperów porucznik Józef Karol Miniewski, według stanu służby z dnia 25. sierpnia 1861 r. ma lat 20. ze szlachty gub. warszawskiej, katolik, do służby wstąpił jako konduktor 11. października 1858 r. do rotы konduktorskiej mikołajewskiej inżynierskiej szkoły, mianowany 17. lutego 1860 r. chorążym. Po zdaniu egzaminu awanzował na porucznika inżynierów w 1860 r. 16. czerwca mając lat 19 itd. itd.

Jak policya skrzętnie za mną robiła poszukiwania, najlepszy dowód, że zamiast mnie, po wyjeździe ze Lwowa aresztowała stryja mego Józefa, starca paralityka, od lat kilkunastu w Krakowie zamieszkałego.

Co się tyczy faktu aresztowania Wasilewskiego to misterne zestawienie oszczerstwa, czyni zaszczyt autorowi, gdy się jednak czytający zastanowi nad zestawieniem, dochodzi do przekonania że ś. p. Ziemiałkowskiego można posądzić o maniaćtwo w wyszukiwaniu zbrodni tam gdzie jej niebyło, tembardziej, że wówczas gdy Wasilewskiego aresztowano byłem w Reiertz. Oficer przed którym ś. p. Wasilewski ze swych ważnych czynności tak lekko-myślnie wywnętrzył się, a którego nazwiska niepodaje, mógł być nawet i szpiegiem rosyjskim, bo i takich w oddziałach mieliśmy. Za wszystkich zaś oficerów przezemnie mianowanych — ręczę — że żaden, gdyby nawet potrzeba było ratować honor dowódcy, tak potwornego czynu nie dopuścił by się.

Nie podnoszę śmiesznych, a nieprawdziwych innych zarzutów czynionych mi — bo na udowodnienie szkoda i papieru, tak są bezsensowne i nieprawdziwie!

Co Panią spowodowało do wydania tych pamiętników zrozumieć trudno!

Próżność — tej wydawnictwo nie zadowolniło!

Zysk pieniężny! — Wątpię czy koszt nakładu wydawnictwo pokryje!

Dobro kraju! — w tej kwestyi stanowczo większą by przysługę oddała by pani mężowi i narodowi gdyby tych pamiętników nie publikowała!

Kilka przedłożonych faktów, dostarczonych co do mej osoby są wystarczające, by wykazać, że oszczerstwa tak lekko-myślnie w pamiętnikach miotane i na innych są bezpodstawne. Niemal wszyscy już nie żyją — nie mogą upomnieć się o swą cześć, tak niesłusznie szarpaną, oni złożyli już rachunek ze swych czynności Przedwiecznemu, niechże Pani swemu ś. p. Małżonkowi

nie utrudnia tegoż złożyć, tam skrupulatnie żądają takowego — „redde quod debes“ z całą surowością stośują — tam orderzy i zasługi złotego żłobka nie wystarczą, ani wysokie dostojenstwa nie pomogą do uzyskania spokoju wiecznego — dokąd rachunek światowy ściśle wyrównanym nie zostanie!

Pamiętniki te, jako znający stosunki owych niepochwytłych przed powstaniem czasów, w dzielnicy zakordonowej, są zupełnie w błędnem świetle, na błędnych faktach oparte, z mętnych źródeł czerpane, a jako takie, nie powinny przyczyniać się do zaciemnienia epoki, trudnej do zcharakteryzowania. Działalność polityczna śp. Floryana Z. więcej zyska, gdy o tych pamiętnikach wieść zaginie!

A zatem jeżeli Pani błogi spokój śp. byłego małżonka, w imię prawdy, wycofaj z obiegu pismo powstałe chyba pod wpływem aberacyi umysłowej. Zrób to, dokąd czas — byś jako współniczka oszczerstw, których może bezwiednie dopuściłaś się, przed Bogiem odpowiedzialną nie była.

Lwów, dnia 15. października 1908 r.

Józef Miniewski
żołnierz w powstaniu 1863/4.

Do Wielmożnego Pana

Franciszka Rawity Gawrońskiego

autora „popularnej“ broszury

p. t. „Walka o wolność w r. 1863“. Lwów, 1913.

Wielce Szanowny Panie!

Na skutek konkursu, rozpisanego przez „Komitet pięćdziesiątej rocznicy powstania styczniowego“ dostarczyłeś Wielce Szanowny Panie — jako prezes tegoż komitetu — do oceny manuskrypt swej pracy, rzekomo popularnej p. t. „Walka o wolność w r. 1863“ i — podjąłeś konkursową nagrodę w kwocie 1000 koron. Pomijam głosy zdziwienia! iż prezes Komitetu ubiegał się w ogóle o nagrodę, a nie złożył swego manuskryptu „hors concours“, gdyż ta kwestya jest rzeczą subtelnych pojęć i zapatrywań, podnoszę tylko okoliczność, iż ogół rodaków, interesowanych zwłaszcza, wyczekiwał niecierpliwie ukazania się z druku nagrodzonej okazałą kwotą i zapowiadanej w czasopismach pracy, przeznaczonej dla szerokich warstw ludowych, dla młodzieży szkolnej i rękodzielniczej.

Oczekiwania zawiodły!

Broszura Wielce Szanownego Pana nie tylko nie stoi na wysokości popularnego dzieła, ale co gorsza, jest zbiorem niedokładności, błędów i braków, zdolnych obalamucić mniej w tym kierunku czytane, a bezkrytyczne masy, a wręcz nawet ubliżających

tym, którzy składali na ołtarzu miłości Ojczyzny mienie, przyszłość, krew i życie swoje. Do najbardziej pokrzywdzonych przez powierzchowne i nierozważne traktowanie sprawy, ze strony Wielce Szanownego Pana należy moja osoba, to też w obronie naruszonego honoru i części mojej, jestem zmuszony, nie czekając na fałchową ocenę broszury, przez sumiennych recenzentów, uciec się do niniejszego otwartego listu, odparować skierowane przeciw mnie cięcie, i wykazać przynajmniej pobieżnie, ujemną wartość „popularnej” pańskiej publikacji. Zarzucasz mi Wielce Szanowny Panie, iż mając zaatakować wspólnie z oddziałami Horodyńskiego i Wysockiego, Radziwiłłów, nieprzybyłem na miejsce wcale i „nie-dostatecznie się usprawiedliwiłem” (stronnica 103 wiersz 9 z dołu) dalej „że stałem się winnym niekaranej niesubordenacji” (str. 104 w. 62 z góry), i że rozwiązanie mego oddziału bez bitwy, było „groźnem świadectwem panującego nieładu” (str. 105 w. 5 z góry).

Wszystkie powyższe zarzuty pańskie polegają na kompletnej ignorancji właściwego stanu rzeczy. Dowodzą one, iż zajmując pobieżnie do wycofanych, z obiegu, jako niegodnych notatek, usiłujące pokryć własne niedbalstwo Floryana Ziemiałkowskiego, i niezadawszy sobie trudu zbadania przebiegu sprawy, na podstawie obfitej zresztą odnośnej literatury, wydałeś pochopnie o mej działalności sąd fałszywy, a mnie kompromitujący, wręcz ubliżający. Nie chcę Cię fatygować, Wielce Szanowny Panie, ażebyś odczytał, choćby tylko artykuł pułkownika Strusia „Udział Galicyi w powstaniu” ogłoszony w „Wydawnictwie materiałów do historyi powstania r. 1863/64” (Lwów 1890) i broszurę Józefa Poraj Wybranowskiego p. t. „W obronie krzci”, (Lwów 1908), a przytoczę tylko dwa urywki z korespondencji, które sprawę należycie wyjaśniają, a Ciebie Wielce Szanowny Panie, o tem, o czem nie wiesz — pouczą. — Wyjątek z listu świadka żyjącego Dr. Antoniego Gólkowskiego prof. gimn. w Sanoku, a wówczas kurjera i adjutanta Gen. Wysockiego z depeszą do mnie przysłanego, opiewa: „od chwili odwrotu i zajęcia komory granicznej musiałem zawieść depesze pisane do komisarza wojennego ś. p. Floryana Ziemiałkowskiego w Sieńkowie, u ś. p. Tadeusza Wasilewskiego, gdzie miał być także komisarz wojenny ś. p. Adam ks. Sapieha. Tylko z Ziemiałkowskim mówiłem. — Od Ziemiałkowskiego zawiozłem depesze listowne do naczelnika oddziału Miniewskiego, którego zastałem gdzieś na kraju lasu obozującego. Żołnierze w obozie bez broni, naczelnik oddziału w kurtce szaraczkowej bez odznak, razem z żołnierzami w trawie, jakby czekał na coś. Młoda, czerstwa i wesoła twarz naczelnika uderzyła mnie, z twarzy bił spokój i otwartość. Z obozu Miniewskiego zawiozłem zlecenie pisemne do Ożydowa, do Karola Hubickiego i dowiedziałem się, że oddział Miniewskiego nie miał broni, niedostarczono mu broni i dla tego nie ruszył pod Radziwiłłów. Jestto przekleństwo nad nami, że nawet rozbitki starce, na drugich napadają i ani sami, ani drugim nie dadzą zamknąć oczy w spokoju i to robią ci ludzie, którzy

za młodu ochoczo przelewali krew za Ojczyznę. Mojem zdaniem. Pułkownik nie ma zważać na szkalowanie ludzi. Łączę serdeczne pozdrowienie i wyrazy szacunku i poważania, powolny Antoni Gólkowski mp. Sanok 27./X. 901 r.“

Pismo ówczesnego prezesa Sądu wojennego w dosłownem brzmieniu jest następujące:

„Do J. W. P. Pułkownika Józefa Miniewskiego. J. Wielmożny Panie Pułkowniku! Jako prezes Sądu wojennego nad Jenerałem Wysockim, po jego wyprawie na Radziwiłów, oświadczam, że między innemi dokumentami miałem raport p. Pułkownika, o przyczynach jakie spowodowały Pana, żeś nie wyszedł z oddziałem za granicę na pomoc Wysockiemu, ale przyczyny te zostały uznane za zupełnie usprawiedliwiające Pana, a obwiniające komitet, który kierował wyprawą i przygotowywał wszystko dla oddziałów. Nikomu i przez myśl nie przechodziło do pociągania p. Pułkownika do odpowiedzialności za to, co się stało. Z wysokiem poważaniem I. Stella Sawicki b. pułk. Strus mp.“ Własnoręczność pisma i podpisu pułkownika Strusia stwierdzają: Józef Męciński prezes Tow. wzaj. pom. ucz. powst. polsk. 1863/4, Wojciech Biechoński wiceprezes, Władysław Szyszkowski zastęp. prezesa.

Powyższe korespondencje, drukowane w otwartym liście do Pani Heleny Ziemiałkowskiej z 15. października 1938. i w powyżej przytoczonej broszurze Józefa Wybranowskiego, nie powinny być ujęć uwagi „sumiennego“ autora, do którego to miana rościsz zapewne, Wielce Szanowny Pan, pretensję. A teraz zapytuję się, czy nie byłoby to, mało powiedzieć, lekkomyślnością, ale wręcz zbrodnią, gdybym w myśl nierozważnego zdania pańskiego był, w podanych powyżej warunkach, po rozbiciu oddziałów Horodyńskiego i Wysockiego przekroczył granicę i wdał się w nierówny bój z zwycięską już, a przemocną Moskwą? Czy mógłbyś Wielce Szanowny Panie wziąć na siebie moralną odpowiedzialność, za pogrom i rzeź bezbronnej młodzieży, gwoździ fantazyi autora, który w 50 lat później zechce pisać o tem, o czem nie ma zupełnie pojęcia. Uderz się w piersi i powiedz: zgrzeszyłem!

Zgrzeszyłeś rzeczywiście Wielce Szanowny Panie, i to nie tylko wobec mnie, ale i wobec innych moich kolegów po broni, dziś już nieżyjących, ale co głównie zgrzeszyłeś, wobec społeczeństwa, któremu w formie „popularnej“ broszury historycznej podajesz fałszywe szczegóły i opowieści, fałszywą ocenę osób i wypadków. Nie moją rzeczą pisać obszerną ocenę o tej nieudolnej publikacyi, muszę jednak dla umotywowania moich zarzutów przytoczyć kilka dowodów.

Twierdzisz Wielce Szanowny Panie, że Langiewicz opierał w Krakowskiem i Lubelskiem, jako wojenny naczelnik tych dwóch województw, (str. 70. w. 1. z g.). Otóż dowiedz się odemnie, że Langiewicz był wojennym wojewodą Sandomierskim,

a nie Lubelskim, iż operował w Sandomierskiem. Falsz podany przez autora razi tem bardziej, iż dotyczy samego dyktatora, osobę najczęściej i najobszerniej omawianą w dziejach powstania styczniowego. I oto pokazuje się, że autor, sięgający po nagrodę konkursową, nie wie nawet, gdzie walczył dyktator, nie ma należytego pojęcia o geograficznem położeniu województw.

Twierdzisz dalej Wielce Szanowny Panie, iż po nieudanej próbie zdobycia Płocka „dostał się ranny Padlewski do niewoli i okupił miłość Ojczyzny życiem“ (str. 65. w. 2. z g.). Otóż dowiedz się, że Zygmunt Padlewski borykał się dzielnie z Moskalami do połowy kwietnia r. 1863 i jadąc jako generał, w pełnem zdrowiu, na spotkanie świeżego oddziału z Prus zachodnich, został około Rypina schwytany 17. kwietnia przez Moskali i rozstrzelany, w niespełna miesiąc później.

Śmierć tego bohatera, jednego z najtęższych, jakich wydało powstanie styczniowe, była tak pełną heroizmu i tragizmu, iż zasługiwała na bliższe omówienie i podniesienie w popularnej pracy. O tem wszystkiem Ty Wielce Szanowny Panie, widocznie dotąd nie wiedziałeś tak, jak nie wiesz, że działalność i męczeńska śmierć Władysława Padlewskiego, ojca Zygmunta, powinna była znaleźć również należyty wyraz w „popularnej“ Twej pracy.

Twierdzisz Wielce Szanowny Panie, iż Czachowski był oficerem z r. 1831 (str. 80. w. 11. z dołu) i że oddział jego wyszedł z ramienia lwowskiego Komitetu (str. 102. w. 1. od dołu). Jest to kompletnem pomieszaniem pojęć i zidentyfikowaniem dwóch różnych postaci, popełnionem wskutek echa, „iż dzwonią w którymś z kościołów“. Pozwól Wielce Szanowny Panie, że Cię pouczę, iż było dwóch dowódców o podobnie brzmiącym nazwisku. Jednym był Leon Czechowski, Galicyanin major w. p. z r. 1831 uczestnik ruchów lat 1846 i 1848, którego oddział wyszedł z ramienia lwowskiego Komitetu, w Lubelskie, drugim zaś był Dyonizy Czachowski, dzielny ziemianin, który jako myśliwy poznał dobrze lasy Ilżeckie i operował przez dłuższy czas szczęśliwie, jako jeden z najtęższych partyzantów.

Pisząc o Czachowskim, wpłatałeś tam, Wielce Szanowny Panie, bez łączności i związku pułkownika Karola Kalitę (Rębajłę) (str. 83. w. 1. z g.) pisząc zaś o bitwie pod Kobylanką wmięszałeś również bez łączności i związku majora Edmunda Śląskiego (str. 90. w. 1. z g.). Odbiera się wrażenie, że autor nie mając pojęcia o działalności obu tych dowódców, a za wygodny aby zajrzeć do podręczników, przyczepił ich nazwiska, do pierwszego lepszego opisu. Dowiedz się Wielce Szanowny Panie, że Śląski wyprowadził młodzież lwowską zaraz po wybuchu powstania pod Tomaszów, że walczył następnie w oddziale Czechowskiego, w końcu, na czele własnego oddziału, wspólnie z generałem Walińskim. Ranny w bitwie pod Borowem, zmarł w szpitalu w Zaleszanach.

Pomimo iż masz się za historyka dziejów r. 1863/64. nie wiesz nawet jak wygląda podobizna charakterystyczna znanego i wybitnego dowódcy generała Józefa Haukego Bosaka mego bliskiego krewnego, a więc mnie dobrze znanego, i umieściłeś zupełnie inną podobiznę (str. 85).

Błędnym jest opis bitwy pod Opatowem (str. 86. w. 6. z g.) Tam nie przełamali powstańcy pierścienia wojsk rosyjskich, lecz ponieśli krwawą klęskę. Dowódca oddziału pułkownik Ludwik Zwierzdowski został pojmany i powieszony. Pisząc o Kurowskim i o Opatowie nie wiedziałeś prawdopodobnie Wielce Szanowny Panie, o krwawej bitwie tego dowódcy pod Mięchowem, i nie wyłuszczyłeś bliżej tego wypadku.

Podobnie jak mnie, uczyniłeś ciężki zarzut koledze generałowi Antoniemu Jeziorańskiemu, iż po bitwie pod Kobylanką nie poszedł w głąb kraju (str. 91. w. 2. z g.) Zarzutu tego odeprzeć Jeziorański już nie może, gdyż on dawno spoczął w grobie; ja jednak piętnuję ten zarzut jako nieuzasadniony, jako bezpodstawny.

Błędnem jest stwierdzenie Twoje, Wielce Szanowny Panie, iż Zygmunt Sierakowski był „umierającym prawie“ w chwili gdy go Moskale powiesili (str. 95. w. 3. z g.) Oto kilka przykładów jak wiele fałszów zawiera w sobie konkursowa praca.

A teraz zapytanie, Wielce Szanowny Panie, dla czego nie podniosłeś godnie i obszernie w broszurze czynów takich dzielnych dowódców, zacnych i ofiarnych patriotów jak Kazimierz Bohdanowicz, Marcin Borelowski, ks. Stanisław Brzózka, Zygmunt Chmieleński, Kajetan Cieszkowski, Leon Frankowski, Bolesław Kołyszko, Władysław Kononowicz, Leon hr. Plater, Józef Rudzki, Konrad Tomaszewski, nie mówiąc o wielu innych, których nazwiska powinny znajdować się w łomach popularnej pracy o r. 1863/64. Czyż o tych wszystkich dowódcach nie mogłeś Wielce Szanowny Panie znaleźć, bez wielkiego trudu, bliższych szczegółów? Z jakiego powodu pominąłeś, wyliczając oddziały wysyłane z wschodniej Galicji, wyprawę Zapałowicza, okupioną krwią młodego kwiata inteligencji Lwowa i okolicy? Dlaczego nie uwidoczniłeś obok nazwisk, chrześtnych imion dowódców i organizatorów, dlaczego zupełnie prawie w broszurze brak dat chronologicznych, co utrudnia zorientowanie się w toku wypadków. Czytelnik odbiera wrażenie, iż śpiesząc się do konkursu, pisząc „na kolanie“ nie miałeś czasu i ochoty, Wielce Szanowny Panie, aby zajrzeć do pierwszego lepszego podręcznika. Wyszukanie dat chronologicznych byłoby Cię doprowadziło do przekonania, jak chaotyczną Twa praca, jak często wysuwasz na czoło szczegóły późniejsze, wcześniejsze zaś umieszczasz później.

Nie możesz wymawiać się od zarzutu, tytuł niedomogań, w opracowaniu publikacji brakiem miejsca, ciasnymi ramami wydawnictwa, skoro znalazłeś tak wiele miejsca na kreślenie o-

szernych traktatów, wywodów i osobistych poglądów. Im to poświęciłeś przeważną część broszury (stronnice 1—52 i 112-145) a opisom właściwych wypadków należących w pierwszym rzędzie do treści popularnej publikacyi, ledwie 60 stronnic druku.

Każdy znający tendencję i ducha popularnych wydawnictw przyzna, iż powinienes być uwydatnić i podnieść, to wszystko, co zasługuje na uwydatnienie i podniesienie. Tymczasem Ty, Wielce Szanowny Panie, to pominąłeś. Brak w Twej pracy wzmianki o pięknych, bohaterskich czynach, o męczeńskich zasługach wśród boleści i cierpień, a to, co jest, to takie mdłe, niewyraźne i zimne, iż nikogo nie zajmie, nie zachwyci, nie zapali; przeciwnie oziębia, zraża i budzi niesmak i przygnębienie. Taka jest publikacya Prezesa Komitetu, który ma uczcić półwiekowy jubileusz tej ważnej chwili. Czyż nie udołałeś Wielce Szanowny Panie, wykrzesać sków ciepłych kilku, dla podniesienia w należytem świetle np. zamykania zbeszczeszczonych przez Moskwę świątyń naszych, czy nie uznałeś za godne wspomnienia zasługi i poświęcenia niewiast polskich i ten słiczny objaw współdziałania ludu naszego, który zwłaszcza na Litwie własne tworzył oddziały, pod własnymi, z ludu wybranymi dowódcami. Natomiast wypukliłeś jako pierwszorzęadne bohaterskie dzieło, nieudaną, niedoszlą do skutku wyprawę teścia Twego, Zygmunta Miłkowskiego, przez terytoryum Rumunii do granic Prutu, rzecz w samym zarodku niewłaściwą, chorobliwą i obliczoną na pobłażliwość życzliwego Polakom rządu rumuńskiego. Każdy rozważny człowiek mógł wiedzieć z góry, iż rząd rumuński, acz przychylny Polakom, nie narazi się na konflikt dyplomatyczny z potężną Rosją, dla przepuszczenia przez swe terytoryum, kilkuset zbrojnych powstańców, a jeśli pułkownik Kalinescu ustąpił Polakom z swym pułkiem, przy pozornem starciu pod Kastangalia, to był to akt życzliwości Rumunów, a nie zwycięstwo garstki Polaków, które usiłujesz sławić jako czyn bohaterski. Zajrzyj Wielce Szanowny Panie w tej sprawie do źródeł dziejowych rumuńskich. Zresztą stwierdza ten stan rzeczy fakt, iż gdy oddział Miłkowskiego, niebaczny na względność Rumunów, nie rozprószył się, lecz dążył dalej zwartym szeregiem, został bez żadnych trudności rozbrojonym. Gdzież więc to bohaterstwo oddziału Miłkowskiego.

Cenię wysoko pańskiego teścia, jako gorącego patryotę, i zasłużonego narodowi męża wierzę, iż Wielce Szanownemu Panu miłą było rzeczą, podniesienie zasług swej rodziny, lecz nie powinno to mieć miejsca z ujmą dla innych większych jeszcze zasług. — A tych większych zasług, większych niebezpieczeństw, aniżeli przemarsz przez terytoryum życzliwej nam Rumunii, nie brakło chyba w epoce lat 1863/1864, a przecież nie znalazłeś dla nich tych wyrazów, iakiem ochrzciłeś w swej broszurce wyprawę Miłkowskiego, nazywając ją „jednym z najwybitniejszych epizodów powstania, zabarwionych bohaterską i szlachetną awanturnością, jednym z najjaskrawszych zwycięstw“ (Str. 107, w. 7.

z dołu). W broszurze swojej wygłosiłeś zdanie: „Szerzyć się poczęła blaga patryotyczna, wysuwali się na czoło fałszywi bohaterowie, godni raczej potępienia za niespełniony obowiązek, górę poczęło brać wstrętne krzykactwo patryotyczne próżniaków, którzy z nieszcześćcia narodowego kuli dla siebie pretensye do zasług i stanowisk“ (str. 104. w. 4. z dołu). Wstaw Wielce Szanowny Panie w ten ustęp zamiast słowa „bohaterowie“, słowo „autorowie“ a znajdziesz w Twem własnem określeniu obraz innych grzeszników. Nie brak i trzeciej ich kategorii. sprzedawczyków ziemi ojczystej pod zaborem Prus i Rosyi a i w Galicyi.

Kilka powyższych uwag moich skromnych wystarczy, aby stwierdzić, iż premiowana broszura Twoja, Wielce Szanowny Panie, nie może zadowolić szerokich mas amatorów popularnych prac, ani pod względem metodycznym ani rzeczowym, ani w końcu, pod względem stylistycznym, styl bowiem, którym się posłużyłeś, aczkolwiek literacki, nie jest stylem popularnym, zrozumiałym dla tych warstw, dla tych umysłów, dla których ma być broszura duchownym pokarmem. Niejasne, nie łatwo zrozumiałe przedstawienie sprawy, tem bardziej ponure czyni na czytelniku wrażenie, zdolne przygnębić ducha, zabić porwy szlachetnej pracy w imię odrodzenia Ojczyzny.

Uznaj Wielce Szanowny Panie Twój błąd, zwróć podjętą premię, zwróć komitetowi poniesione koszta nakładu, zniszcz ten cały nakład, a jako Prezes Komitetu, postaraj się iżby ktoś kompetentny napisał popularną pracę, przedstawił fakta zgodnie z rzeczywistością, nie apoteozował rzeczy, złudnych i bez znaczenia, wytknął to co było złem, a pochwalił bohaterstwo, poświęcenie i rzeczywistą zasługę, pozostawiając czytelnika w tem przekonaniu, że ziarno przed pół wiekiem zasiane i krew przelana nie poszły na marne.

Tak ja przynajmniej postąpiłbym na Twojem, Wielce Szanowny Panie, miejscu.

Lwów, 10. stycznia 1913.

Józef Nieczuja Miniewski
pułk. wojsk polskich 1863 r.



ROZDZIAŁ VI.

GŁOSY KRYTYKI.

JÓZEF BIAŁYNIA-CHOŁODECKI.

Kilka słów

o popularnej pracy p. Franciszka Rawity Gawrońskiego.

„WALKA O WOLNOŚĆ W R. 1863“.

(Przedruk z Dziennika polskiego z r. 1913.)



Wielką odpowiedzialność bierze na siebie ten autor, który dostarcza społeczeństwu popularnych prac historycznych.

Podczas, gdy dzieła naukowe znajdują rychło krytyków w gronie uświadomionych należycie czytelników i nie wpływają tak łatwo na zmianę ich zapatrywań i poglądów, przejmują się bezkrytyczne, mniej czytane masy treścią prac popularnych, biorą je, aczkolwiek może są złe, za dobrą monetę, podają treść ich dalej, przenoszą na otoczenie i potomne pokolenia. Jakże łatwo obalamucić błędnymi poglądami ucznia szkół niższych, praktykanta warsztatowego, sługę i rzeszę ludu, łaknące duchowego pokarmu.

Wiedzą o tem dobrze wrogowie, to też starają się nieraz w popularnych, a pozornie patryotycznych broszurach zohydzić przeszłość i teraźniejszość naszą wobec szerokich a bezkrytycznych warstw narodu. Nie łatwą też rzeczą jest i ludziom dobrej woli napisać odpowiednią popularną pracę historyczną. Wymaga ona częstokroć wiele trudu, wiele sumienności i rozważ, a co niezbędna, dokładnej, gruntownej znajomości przedmiotu, który ma być omawiany. — Wszakże należy w takiej pracy podnieść, uwypuklić strony dodatnie i piękne, złe zaś w właściwym przedstawić świetle, a pominąć to, co przy mniejszem czytaniu, przy niższej inteligencji czytającego mogłoby sprowadzić pojęcia jego na manowce.

Dzieje powstania styczniowego szczególnież wymagają w tej mierze rozważi piszącego, odruch ten bowiem ciemniejszego i drę-

czonego narodu był i jest ustawicznie przedmiotem różnorodnych poglądów i różnej oceny, ze strony zwłaszcza osób, które nie mając o rzeczy wyrobionego pojęcia, opierają się na tem, co sły-szały w potocznej rozmowie, co im opowiadano.

Leży przed nami „popularna“ broszura p. Franciszka Ra-wity Gawrońskiego, zatytułowana „Walka o wolność w r. 1863“, premiiwana na konkursie komitetu jubileuszowego nagrodą 1000 koron i wydana nakładem tegoż komitetu. Przypatrzymy się bli-żej tej pracy i rozpoczniemy od zewnętrznego jej wyglądu. Skła-da się ona z 145 stronici druku, przeplatane go 51 rycinami, z któ-rych 22 zapełniają każda po jednej stronicy książki. Odliczywszy wszystkie ryciny, pozostaje właściwego tekstu około 108 stronic. W tekście tym widnieje mnóstwo błędów drukarskich, niekiedy tak fatalnych, iż utrudniają czytelnikowi zrozumienie myśli auto-ra. Świadczy to o pośpiechu i niedbalstwie korektora Ryciny nie zawsze należycie cieniowane i odbite, stanowiłyby może pomimo to najlepszą stronę wydawnictwa, gdyby były lepiej dobrane, gdyby były w tekście omówione, zaopatrzone lepszymi napisami, nie zawierały w tym ostatnim kierunku błędów. Pomijamy oko-liczność, iż widniejącego na stronicy 7. dzieciaka z podpisem „powstaniec z r. 1863“ nie należało na naczelne stawiać miejsce, jako typ ogólny ówczesnych powstańców, jakkolwiek bowiem młodzież wywołała powstanie, to jednak nie brakło w kie-rownictwie i w walce ludzi dojrzałych, a nawet sędziwych. Zre-sztą nie wszyscy godzą się na to, aby w obecnych czasach apo-teozować pajdokrację. Ryciny Jürgensa, Jeziorańskiego, Czachow-skiego, Heidenreicha, Sawickiego, Lelewela i ks. Mackiewicza pro-szą formalnie o uwidocznienie w napisach obok nazwisk, także i imion chrzestnych, co przypadło w udziale podobiznom innych osób. Powinien to był autor uczynić także w własnym interesie, aby nie nadawać pracy piętna roboty pośpiesznej i powierzcho-wnej. Piękna rycina „grób poległych“ (str. 89) zyskałaby na war-tości, gdyby autor był podał, że grób bohaterów z pod Kobylanki znajduje się na terytorium Galicyi i może być bez przeszkód odwiedzany. Rycina „wyprawa morska Łapińskiego“ (str. 109) nie ma na sobie piętna charakterystycznego, jest obrazem zwy-klę go statku parowego i mogła być pominięta na korzyść innej ryciny, lub podobizny któregoś z zasłużonych mężów i wodzów. Brak wśród rycin wielu postaci godnych uwiecznienia, razi w pracy p. Rawity Gawrońskiego. Błędnie informuje autor czy-telnika ryciną podpisaną: „Edmund Śląski, poległ pod Łążkiem 22. października 1863“ (str. 88), Śląski nie poległ tamże, lecz răn-ny w bitwie między Łążkiem a Borowem został przewieziony na terytorium Galicyi do Zaleszan obok Zbydniowa, dóbr br. Ko-nopki, gdzie zmarł 30. października i spoczął w wspólnym grobie z Aleksandrem Stadnickim. Bardziej trąjącego błędu stał się autor winnym, uwidaczniając jako podobiznę generała Józefa Haukego twarz innego partyzanta (str. 85). Szkoda, że nie porozumiał się autor z p. Jarosławem Odrowąż-Pieniążkiem, którego niezwykle

obfite i umiejętnie klasyfikowane zbiory byłyby uchroniły autora od tak fatalnej pomyłki.

Pracę swoją podzielił autor na 4 rozdziały. Pierwszy, zatytułowany „Wstępny rzut oka na okres przed powstaniem“, omawia długo i szeroko pożar domów i zagród, prawa Polaków do gospodarowania na ojcowiznie, do samorządu, do kierowania swym losem, omawia walki Greków, Włochów, Węgrów i Niemców, dążące do odzyskania swobód i jest formainą rozprawką na temat praw do wolności, polemiką tak gorącą, jak gdyby kto sprzeciwiał się w tem autorowi, lub powątpiewał o odwiecznej prawdzie. W tym też rozdziale wyluszcza autor kwestyę samorządu, powtarza się na jeden i ten sam temat, przechodzi następnie do dziejów Rosyi, do jej pierwotnej cywilizacyi i sięga w tej kwestyi wstecz, aż do najazdu Mongołów. Wszystkie te długie i mniej zajmujące czytelnika ustępy nie należą w tej rozciągłości i formie, jak je autor podał, do popularnego opisu powstania styczniowego. Należało to streścić w kilku słowach, nie nużyć czytelnika popularniej pracy wywodami dla niego często nie zrozumiałemi, pozostawić więcej miejsca na właściwy temat, na opisy faktów i wypadków walki o wolność. Każdy kto zna dzieje r. 1863 przyzna, że autor powinien był jako punkt wyjścia dla swej popularnej pracy obrać rok 1855, wstąpienie na tron cara Aleksandra II., który zmroził od razu serca Polaków, swem zimnem przyjęciem deputacyi, pochwałą czynów ojca i rozwianiem wszelkich marzeń i nadziei. Co spowodowało autora do nakreślenia tak obszernej, a nie należącej właściwie do rzeczy, rozprawy, zapełniającej rozdział pierwszy, nie jest nam wiadomem; przypuszczamy, iż autor, pracując nad dziejami epoki Bohdana Chmielnickiego, chciał część ulubionego swego tematu przeszczepić na pole publikacyi o powstaniu styczniowym.

W rozdziale drugim „Przed powstaniem“ powraca autor znów do swego ulubionego tematu, do dziejów Rosyi, przechodzi na Mikołaja i Aleksandra i na kwestyę uwolnienia i uwłaszczenia włościan w Rosyi. W tej ostatniej kwestyi wyraża się na str. 25, że „byłaby ta wielka sprawa wobec ludzkości i pokrzywdzonych pracowników na roli, może i dotychczas nie doczekałaby się końca, gdyby nie powstanie r. 1863“. Szkoda, że autor nie zairzał choćby tylko do „Encyklopedyi Macierzy polskiej“ z r. 1898“, byłby tam bowiem znalazł w tomie I. na str. 20, szpalta 2, wiersz 2 od dołu słowa: „za jego (Aleksandra II.) panowania zostali w r. 1861 chłopci wyswobodzeni w Rosyi od poddaństwa i pańszczyzny, a w Polsce dopiero w r. 1863“. Powstanie styczniowe nie stało więc w przyczynowym związku z uwolnieniem włościan w Rosyi.

Na stronie 26 przechodzi wprawdzie autor do właściwego przedmiotu i do opisu faktu, to znaczy pogrzebu generałowej Sowińskiej, wraca jednak znowu rychło do ogólnych wywodów i wyluszczenia zapatrywań, zamiast przytaczać fakty, opi-

sywać zdarzenia, podnosić poszczególne wypadki i w ten sposób pouczać, zaciekawiać czytelnika i przykuwać uwagę jego do przedmiotu. Za wiele tam słów, za mało konkretnych faktów, za mało obrazów, które byłyby zdolne zilustrować ówczesnego ducha społeczeństwa, niedolę i cierpienia narodu i przyczyny wybuchu powstania. Za obszernie, jak na małą popularną pracę rozwodzi się też autor o Wielopolskim i Zamoyskim i zabiera tem miejsce, jakiego można było lepiej użyć dla omówienia przebiegu zdarzeń i działalności Komitetu centralnego, względnie Rządu narodowego. Ten ostatni temat pozostawił autor na koniec swej pracy. Dlaczego? Wszakże pierwiej istniał Komitet centralny, a dopiero potem miało miejsce powstanie, które było dziełem Komitetu względnie Rządu narodowego. Ten przewrót w chronologii niewyjaśniony.

Rozdział trzeci „Powstanie“ sięgający od str. 54 do str. 111 broszury, nie odpowiada zupełnie założeniu, ani celowi publikacji, nie stoi w proporcjonalnym stosunku do rozdziałów poprzednich i do ostatniego, nie daje czytelnikowi obrazu właściwego przebiegu wypadków, nie daje choćby treściwego zestawienia całokształtu, lecz jest chaotycznym zlepkiem pewnej liczby nazwisk, jakie występowały wówczas na widowni dziejowej, przeplatanych pobieżnemi, a niekiedy nawet błędnymi wzmiankami o ich działalności. Brak tam dat chronologicznych, brak systemu chronologicznego, brak osób i szczegółów, które powinny były bezwarunkowo znaleźć miejsce w popularnej pracy. Czuł te braki widocznie sam autor i usiłował tłumaczyć je na str. 63 tem, „że walka wrzała na różnych punktach, gąsła i wznowiała się ciągle, niepodobna przeto przedstawić jej w krótkim zarysie chronologicznym w całej rozciągłości i drobiazgowości“. Twierdzenie to pozwalamy sobie nazwać bezpodstawnem. Nie rozchodzi się w pracy popularnej o szczegóły drobiazgowej natury, lecz nie powinna ona grzeszyć brakiem chronologii, brakiem dat, i brakiem całokształtu. Rzeczą autora było w razie potrzeby podzielić opowiadanie na grupy i w tej formie dać czytelnikowi pojęcie o całości. Smutną byłoby rzeczą, gdyby prace popularne, dlatego, że są zcieśnione w szersze granice, miały pomijać chronologiczny porządek zdarzeń i obraz całości. W dodatku do powyższych usterek obniża głęboko wartość pracy p. Rawity Gawrońskiego, wielka liczba błędów historycznych, fałszywe przedstawienie faktów ogólnie znanych, mniej nawet biegłym w dziejach powstania styczniowego osobom. Do takich rażących błędów zalicza się twierdzenie autora na str. 70. „że dyktator Langiewicz operował w Krakowskim i Lubelskim, jako wojenny naczelnik tych dwóch województw“, podczas gdy w rzeczywistości terenem jego akcji było województwo nie Lubelskie, ale Sandomierskie. Twierdzi dalej autor, że Zygmunt Padlewski po niedłżej próbie zdobycia Płocka dostał się ranny do niewoli i okupił miłość Ojczyzny życiem (str. 65). Rzecz miała się inaczej. Padlewski stał dzielnie na usługach sprawy narodowej do

połowy kwietnia 1863 roku i dopiero jadąc jako generał w pełnem zdrowiu na spotkanie świeżego oddziału z Prus Zachodnich, został przez Moskali schwytyany i w miesiąc później rozstrzelany. Wybitna działalność Padlewskiego tak w składzie Rządu narodowego jak i na polu walki zasłużyła na szersze omówienie w popularnej broszurze, tak samo jak bohaterstwo jego w chwili rozstrzelania i tragiczny wypadek zasypania go w grobie półżywego jeszcze przez komenderującego egzekucją rosyjskiego oficera. Niesłuszny zarzut uczynił autor Rządowi narodowemu, twierdząc, iż tenże powziął rozpaczliwy plan zdobycia broni (na Moskalach) golemi rękami" (str. 63). Planu takiego Rząd narodowy nie układał, nie uchwalał, a twierdzenie autora opiera się na retorycznym zwrocie jednego z najczynniejszych organizatorów, Leona Frankowskiego, który na zapytania czem się bić będziemy, zwykł był odpowiadać w zapale oratorskim: „kij zdobywa karabin, a karabin armaty“. Frankowski był, jak wspomnieliśmy organizatorem, a nie wojskowym dowódcą oddziału, jak to możnaby błędnie wnioskować z podania autora na str. 70. o kłesce „zadanej Frankowskiemu“ przez Moskali. Dowódcą oddziału był tam Zdanowicz. Przeskakując szybko z przedmiotu na przedmiot i utrudniając tem zorientowanie się czytelnika w sytuacji, twierdzi autor na str. 78 „że Rząd narodowy przekonał się bez trudu, że dyktatura wojskowa możliwą tylko byłoby mogła przy armii regularnej“. Otóż jest tutaj pewne pomieszanie pojęć. Dyktatorem nie mianował Langiewicza Rząd narodowy, jest to pewnością o który nie całkiem wyraźnie trąca zresztą sam autor na str. 74 i 75 broszury słowami: „zjawiła się w jego (Langiewicza) obozie deputacya, niewyraźnego charakteru i z niewyraźnem pełnomocnictwem etc.“. Niezrozumiałem jest dla czytelnika co autor chciał wyrazić słowami, że Rząd narodowy przekonał się bez trudu“. Na tej samej stronicy 78 czytamy: „Pomoc z Poznańskiego, po śmierci Mieleckiego ożywiła na chwilę pograniczne pruskie. Już z wiosną wkroczyło (powinno być może „wkroczyły“) stamtąd trzy oddziały pod wodzą hr. Junga de Blankenheim, Taczanowskiego i Faucheux“. Otóż znowu rażący błąd chronologiczny. Mielecki ranny 22. marca 1863 roku pod Olszakiem, leczyl się w Mamliczu w powiecie Szubińskim w Poznańskim, z łża jeszcze kierował ruchami oddziałów mazowieckich i składał o nich raporty Rządowi narodowemu. Zmarł 9. lipca 1863. Na wiosnę roku 1863 żył Mielecki, a więc o oddziałach, które wkroczyły na wiosnę 1863 nie można powiedzieć, że wkroczyły po śmierci Mieleckiego. Jung de Blankenheim poległ w bitwie pod Brdowem 29. kwietnia 1863, a więc na dwa przeszło miesiące przed skonem Mieleckiego. Błędem jest twierdzenie autora, że oddział Czachowskiego wyszedł z ramienia lwowskiego Komitetu (str. 102), a zestawienie tego twierdzenia z uwagą na str. 80. w. 11. z dołu udowadnia, iż autor nie wiedział o istnieniu dwóch dowódców o podobnie brzmiącym nazwisku. Jednym był Leon Czechowski, major wojsk polskich z roku 1831, który po-

dażył na plac boju z ramienia lwowskiego Komitetu, drugim Dyonizy Czachowski ziemianin z Królestwa.

Niewytlumaczonem jest połączenie przez autora działalności Karola Kalitę (pułkownika Rębały) z działalnością Czachowskiego, tudzież działalności E. Slaskiego z działalnością gen. A. Jeziorańskiego, (str. 83 i 90), a razą w tej mierze błędy autora tem bardziej, iż tak Kalita jak i Slaski zasłużyli na odpowiednie omówienie ich udziału w walce narodowej. Slaski wyprowadził młodzież lwowską nie jak twierdzi autor, w maju do oddziału Jeziorańskiego, ale w styczniu 1863 do oddziału Jana Czarneckiego pod Tomaszów.

Podobnie jak notatki o Kalicie i Slaskim umieścił autor bez związku, pisząc o Traugucie, notatkę „Próba przyjsia z pomocą Litwie, podjęta jako wyprawa morska, nie powiodła się”. Notatka ta nie stoi w żadnej styczności z kwestyami, o których mowa w dotyczącym ustępie.

Niezgodnie z rzeczywistością informuje autor czytelników o rezultacie bitwy pod Opatowem i o jej dowódcy (str. 86), twierdząc, „iż słabo obsadzony Opatów zdobyto bez trudu i przełamano pierścień moskiewski”. Pod Opatowem poniósł Zwierzdowski ciężką klęskę, dostał się do niewoli, zginął na szabienicy. Polacy odparci przez finlandzkich strzelców cofnęli się z Opatowa i niebawem rozsypali się, pokonani przez Moskwę. Do wodził w tej bitwie Zwierzdowski, a Kurowski był jego podkomendnym i kłopiero po nim objął chwilowo komendę.

Na str. 87 zapowiada autor: „Musimy przeto na tem miejscu słówko powiedzieć o tych oddziałach, o tej działalności, które wziawszy początek w Galicyi zachodniej, przechodziły wreszcie na teren do Królestwa Polskiego”. Na spełnienie tej obietnicy daremnie jednak wyczekuje czytelnik i nie dowiaduje się ani o Edwardzie Dunajewskim, ani o Aleksandrze Taniewskim, ani o Mieczysławie Szamejcie, ani o innych dowódcach, względnie oddziałach, autor bowiem po tej zapowiedzi przechodzi do oddziału Jeziorańskiego w Lubelskie, pod Kobylanę, a dotknawszy dwoma tylko, a i to nie całymi wierszami tak wybitnej postaci, jak Marcina (Lelewela) Borelowskiego, przesuwają się myślą na terytoryum Litwy i Rusi.

Lecz jakże wiele i tutaj braków i błędów. — Nawet pierwszorzędną ówczesną postać walk na Litwie, Zygmunt Sierakowski, nie jest wolną od błędnego i niedostatecznego przedstawienia sprawy. Podstęp Murawiewa, który odpisał carowej rosyjskiej, wstawiającej się za Sierakowskim, „że czyni zadość żądaniu jej cesarskiej mości i zmienia wyrok rozstrzelania na powieszenie, o którym po dokonaniu zawiadamia”, jakież to piękny temat do ustępu w popularnej pracy! Jakże zimno, obojętnie przedstawił autor na str. 99, poświęcenie i poddanie się ślepe, wyższym rozkazom władz narodowych ze strony młodzieży, która poszła po

śmierć w tłum rozbestwionego ludu wiejskiego ze „Złotą hramotą“ w dłoni; nie uznał nawet za stosowne wymienić, że to się stało pod Sołowijówką.

Pójdźmy dalej — i oto na stronie 102 uderza nas brak wzmianki o wyprawie Jana Żalplachty (Zapałowicza) i o bitwach pod Tyszowcami i Tuczępami. Był to oddział, złożony z inteligencji Lwowa i okolic, a zapisał swe imię na kartach dziejów barbarzyńskim czynem Moskali, którzy spalili w szopie żywcem rannych wraz z lekarzem Juwenalem Niewiadomskim. Czyż to okrucieństwo wrogów naszych nie nadaje się znakomicie jako ilustracya do popularnej broszury?

Z niewytłumaczonych przyczyn obrał sobie autor za cel surowej krytyki działalność pułkownika Józefa Miniewskiego, któremu czyni po trzykroć ostre zarzuty i wyrzuty, nie oparte ani na poważnych źródłach, ani na wiarygodnych dokumentach, a chyba tylko na „gadaniu“ osoby prywatnej, nieprzychylniej Miniewskiemu. Nie też dziwnego, iż pokrzywdzony pułkownik Miniewski uciekł się do otwartego listu z daty 10. stycznia 1913, w którym nie tylko zbił zupełnie twierdzenia autora, ale co więcej, podniósł cały szereg ujemnych stron jego broszury.

W liście tym stwierdził dalej pułkownik Miniewski i wykazał, jak bezpodstawnie zgłoryfikował autor wyprawę garstki naszych z Turcyi przez Rumunię pod dowództwem Zygmunta Miłkowskiego. Wyprawa ta, która nie doszła zresztą do skutku, była obliczoną na pobłażliwość rządu rumuńskiego i była rzec można, nadużyciem życzliwości, jaką nas darzyła w owej epoce Rumunia. Wszakże sam autor podał na str. 108, że „pułkownik rumuński Kalinescu, uniesiony szlachetnym zapalem, oświadczył Miłkowskiemu, że przez dwa dni ścigać go nie będzie, dając możność przedostania się do Prutu“.

Czyż nie było wobec tego rzeczą polskiego oddziału rozwiązać się i dążyć pojedynczemi drużynami do celu wędrowki, czy musieli koniecznie iść zwartą masą i zmusić tem rząd rumuński do rozbrojenia ich pod grozą dyplomatycznego konfliktu z Rosyą. Gdzież więc jest tutaj owa „szlachetna awanturniczność“, owe „najjaskrawsze zwycięstwo“, o których mówi autor na str. 107?

Słusznym jest zarzut w liście pułkownika Miniewskiego, iż autor w pracy swej, pisanej gorączkowo i pospiesznie, pominął cały szereg nazwisk zacnych i ofiarnych patriotów, dzielnych dowódców, którzy poświęceniem, trudem, znojem, krwią i życiem swoim zdobyli sobie miejsce w panteonie dobrze zasłużonych Ojczyźnie mężów.

Słusznym jest dalszy zarzut pułkownika Miniewskiego, iż brak w pracy p. Rawity Gawrońskiego ciepłych słów na odmalowanie strasznych przeżyć ówczesnego pokolenia, które znalazły epilog swój w zamykaniu zbezczeszczonych przez Moskwę świą-

tyń naszych, iż brak wszelkiej wzmianki o zasłużonych duchownych, o tem olbrzymiem poświęceniu i współdziałaniu kobiet polskich i o czynnej pomocy ludu wieśniaczego, który zwłaszcza na Litwie tworzył własne oddziały pod własnymi, z ludu wybranymi dowódcami. Brak w tej publikacyi obrazów, stwierdzających piękne bohaterskie czyny, męczeńskie zasługi wśród boleści i cierpień, a to co jest, to takie mdłe, niewyraźne, zimne, iż nikogo nie zajmie, nie zachwyci, nie zapali; przeciwnie oziębia, zraża, budzi niesmak i przygnębienie.

Autor zbagatelizował przedmiot i czytelników, napisał wiele, wyraził mało, a stworzył — chaos...

W części czwartej, zatytułowanej „Rząd narodowy“, po długim wywodzie o tonącym człowieku, o prawie i sprawiedliwości, ogranicza się autor jedynie na wprowadzeniu na widownię Ignacego Chmielińskiego i Romualda Trauguta, a więc członków Rządu piątego i szóstego składu, pomija zaś milczeniem wszelkie poprzednie kombinacye, przejścia i przewroty, pomija całą plejadę innych członków tegoż Rządu, jacy przesunęli się przez karty dziejów od połowy r. 1861 do połowy grudnia 1864 pomimo, iż opisanie właśnie tych dziejów, było zadaniem i obowiązkiem autora.

Natomiast roztacza autor przed czytelnikiem obszerny obraz własnych, indywidualnych poglądów i zapatrywań na udział włościan w ruchu i walce o wolność, na uzbrojenie i taktykę oddziałów, na międzynarodowe stosunki ówczesne w Europie, na „następstwa połowicznej polityki polskiej, jaką w r. 1863 prowadziły Francya, Anglia i Austria względem Rosyi“, na formy i przejawy, w jakich „manifestowała się polityka rusyfikacyjna względem Polaków po roku 1863, aż do doby prawie dzisiejszej“ i na ciosy, jakie spadły na naród polski po zgnieceniu powstania

I pod względem wysłowienia pozostawia praca p. Rawity Gawrońskiego wiele do życzenia. Obok zwrotów literackich, nie łatwo zrozumiałych dla tych czytelników, dla których są właściwie przeznaczone popularne broszury, widnieją zdania, kreślone wprost pośpiesznie, niedbale i z pominięciem zasad stylistyki, tak, jak gdyby publikacya wyszła z pod pióra dwóch różnych autorów, lub jeden i ten sam autor umieszczał obok wycinków z poprzednich lepszych prac swoich, gorączkowo i bez bliższego obmyślenia szkicowane ustępy nowe.

Przykład niełatwo zrozumiałego zwrotu spotykamy na str. 22, a brzmi on, jak następuje: „Życie każdego narodu nie tylko sięga głęboko w przeszłość, ale, jak widzieliśmy, wiąże się z kierunkiem ideowym, wytworzonym, lub wytwarzającym się w bliższem, lub dalszem jego sąsiedztwie. Czyny, zamiary, praca jednostek i narodów wypływają z warunków życia i charakteru, zarówno danego społeczeństwa, jak i jego otoczenia!“

Tego rodzaju zwroty utrudniają w broszurze co krok czy-

telnikowi łatwe zrozumienie myśli autora, a z drugiej strony rażą go błędy stylistyczne, jak n. p. „pragnąc przez uwłaszczenie pozyskać lud dla sprawy narodowej równocześnie podtrzymywano nastrój rewolucyjny, nałożono podatek narodowy, a równocześnie zabieraniem pieniędzy rządowych, gdy się dało, jako własności narodowej, zwiększano fundusze na przyszłość“ (str. 51) lub „Bitwa pod Kobylanką była jedną z najświeższych odniesionych w powstaniu“ (str. 90). Ależ bitwy się nie „odnosi“ tylko „stacza“.

Dalej czytamy na stronie 92 zwrot: „Litwa najmiłsza zawsze Polsce, związana z nią nie tylko jednością i wspólnością państwową, lecz także wspólnością religii i kultury prawie natchnionych uchwalił powstanie (25. stycznia 1863)“. Otóż w tem zdaniu brakuje czasownika, powtórnie nie ma powiedzianego kto był Polsce „miłym“ kto „miłszym“ a jest tylko wyrażone, kto był, „najmiłszym“.

Idźmy dalej, na str. 94: „Narbut zginął na polu bitwy, przeszyty kulami wrogów, jak na wodza i żołnierza przystało“. Z tej budowy stylistycznej zdania wynika konkluzja, iż wódz i żołnierz, który nie został przeszyty kulami, nie spełnił tego, co mu przystało“.

Na tej samej stronie znajdujemy zwrot: „wykształcony żołnierz, gorący syn Ojczyzny“. Autor chciał zapewne powiedzieć gorący patriota, albo prawy syn Ojczyzny.

Na str. 96 widnieje zwrot: „Był to jeden z najbardziej energicznych, wytrzymałych, świadomych niebezpieczeństwa ludzi, którzy potrafił zginąć na stanowisku, ale z niego nie ustąpił“, lub poniżej: „Tu miał sposobność zapoznać się z sprzętami poruszającymi ruchem zbrojnym“.

Na str. 99: „Jeśli na Litwie i w Królestwie mogły być widoki powodzenia, lub utrzymania się na terenie walki, to na Rusi, wobec ludności zbałamuczonej rozmyślnie, nadzieje w tym kierunku były (podobne do różanych płótków, poprzedzających wschód słońca“. Porównanie to chroma. Skoro po różanych płótkach następuje wschód słońca, a więc jasność i światłość, to po nadziejach na Rusi powinnyby nastąpić, w tem porównaniu, zwycięstwo i wolność. Na str. 102: „Ucząca się młodzież, mieszczanstwo, rzemieślnicy, tworzyli na wyprzódki komitety i komiteci“. Czy nie lepiej powiedzieć: „na wyścigi“.

W popularnych pracach należy bacznie unikać błędów stylistycznych, zwrotów niejasnych i obcych wyrazów. Przykładem powinny być dla autora wydawnictwa Towarzystwa pedagogicznego.

Lecz dość tych uwag.

Jak widzimy, nie odpowiada praca p. Rawity Gawrońskiego wymogom ani pod względem metodycznym, ani rzeczowym, ani stylistycznym, ani w końcu pod względem zewnętrznej formy

wydawnictwa, to też musiała spotkać się z ogólną ujemną krytyką. Tej ocenie uważałem za wskazane i ja, dać wyraz, a to w interesie samej sprawy, zwłaszcza, że powinniśmy dokładać wszelkich starań, aby błędy i fałszy historyczne, choćby i mniejszego nawet znaczenia, nie wnikały w krew i szpik naszego społeczeństwa. Jakkolwiek mam zaszczyt należeć do sekcji literackiej „Komitetu półwiekowego jubileuszu powstania styczniowego“, mogę bez skrępowań zabrać głos krytyka w niniejszej sprawie, nie należałem bowiem do składu jury, nie brałem udziału w posiedzeniu, na którym przyznano nagrodę panu Rawicie Gawrońskiemu, ani nie miałem żadnego wpływu na ogłoszenie drukiem tej pracy. Wydaniem jej kierował głównie sam autor, jako czynny prezes Komitetu jubileuszowego.

Lwów, dnia 30. stycznia 1913.

Józef Białynia Choledecki.

O broszurze Fr. Rawity Gawrońskiego

„WYPRAWA WOLYŃSKA EPIZOD Z R. 1863“

(Warszawa 1914).

Po raz drugi już bierze autor pióro do ręki, aby pisać o „wyprawie na Radziwiłłów“.

Dlaczego?

Pytanie takie nasuwa się mimowoli czytelnikowi, a odczuwa je i sam autor, skoro poprzedza swą broszurę dłuższą przedmową, rodzajem usprawiedliwienia. W usprawiedliwieniu tem czuć jednak braki, czuć niedopowiedzenie jakiegoś słowa. Wszystko to obudza tem większą nieufność do publikacji, jeśli się zważy, że autor właściwie nic nowego nie powiedział, nic nowego nie odkrył, a to co usiłował jako nowość podać, jest rzeczą dawno znana, tylko z lepszego i prawdziwszego oświecenia.

Mylnie oświadcza autor u wstępu, iż do opisu wyprawy na Radziwiłłów trzy tylko posiadamy źródła: Pamiętniki Florjana Ziemiałkowskiego, artykuł pułkownika J. Sawickiego — Strusia i Notatkę Józefa Miniewskiego; wszakże istnieją obok wyliczonych i inne drukowane opisy, które autor sam powołuje nawet w swej broszurze. Dlaczegoż więc usiłuje je usunąć w cień?

Z powyższych źródeł uważa autor jako pierwszorzędne pamiętniki Ziemiałkowskiego, a jego za kapitałnego świadka; Sawickiego ocenia tylko jako wojskowego, Miniewskiemu zaś odmawia wszelkiej wiarygodności, dlatego — iż znajduje w jego opisach zwroty „wówczas“, „nazajutrz“, „z braskiem dnia“, „miejscowość w której swój oddział formowałem“ itp. Przyznajmy się iż ten zarzut autora „Wyprawy wolińskiej“ jest co najmniej

powiedzieć „oryginalnym“ i nie wytrzymuje krytyki. Przecież zwroty powyżej przytoczone są u mnóstwa autorów na porządku dziennym.

Jeżeli któremu z trzech powołanych przez autora źródeł można odmówić wiarygodności, to w pierwszym rzędzie pamiętnikom Ziemiałkowskiego, to też nie mógł autor popełnić większego błędu, jak, że poszedł bezkrytycznie za temi pamiętnikami, że oparł się w swej pracy głównie na zdaniu Ziemiałkowskiego. Wszakże Ziemiałkowski był cywilnym komisarzem dla oddziału Miniewskiego, wszakże Ziemiałkowski nie spełnił swego obowiązku, wszakże Ziemiałkowski nie mógł być wobec tego bezstronnym i sprawiedliwym ocenicielem faktów, gdyż byłby musiał sam siebie w pierwszej potęgę linii. Pisał więc pamiętniki tak, aby swą czarną stronę wybielić.

On, człowiek zdolny, rewolucjonista, dwukrotny więzień stanu, pierwotnie demokratą z krwi i kości, w końcu excelencya — minister, nagrodzony godnością barona, byłby po wieki zachował imię nie tylko zasłużonego dla kraju i państwa męża, ale i zacnego obywatela, gdyby nie były ukazały się z druku nie-szczesne jego pamiętniki. Pisał je złością i jadem, oplwał, gwoli wyniesienia siebie, najlepszych i najzaczniejszych mężów w narodzie, jak m. p. Franciszka Smolkę, Jana Dobrzańskiego, Adama ks. Sapiechę, Mieczysława hr. Reya, Antoniego Małeckiego, Mieczysława Pawlikowskiego i wielu innych, a gorących działaczy w epoce r. 1863/64 i odjął nawet cześć kobiecie ogółowi patriotycznych matron i dziewcząt polskich. „Pamiętniki“ Ziemiałkowskiego należą do tych zjawisk jego życia, „o których się nie mówi“. Jeżeli więc autor „Wyprawy wołyńskiej“, opiera się na tych pamiętnikach jako na głównym dokumencie, identyfikuje się z wywodami Ziemiałkowskiego, obniża zupełnie wartość i wiarygodność swej broszury, zwłaszcza, że nie chciał zauważyć sprzeczności w twierdzeniach Ziemiałkowskiego, a np. w tegoż sprawozdaniu umieszczonem na stronie 133 (Tom III) dotyczącem sprawy kwatermistrza Burczyńskiego pociągniętego do odpowiedzialności za niedostawienie na czas ochotników.

Obok pamiętników Ziemiałkowskiego stawia autor jako wiarygodne źródło notatki, lub też ustnie wygłaszane krytyki młodzieniaszków, podrzędnych świadków ówczesnych zdarzeń, krytyków o nader szczerpłym widnokregu, nieświadomych całości sprawy, niezdolnych zrozumieć przyczyn i związku faktów. Jaką jest wartość tego rodzaju źródeł dla oceny dziejowych zdarzeń i krytyki ich sterników, nie trudno zrozumieć.

Krytykując w swej publikacji zarządzenia poszczególnych dowódców, zdradza autor nieznaną elementarnych zasad sztuki wojennej wogóle, a partyzantki w szczególe, skoro np. aprobuje zdanie, iż można ukrytych w domach i kamienicach nieprzyjaciół atakować tak skutecznie kawalerją, lub, że objawem tchó-

rzostwa jest, jeśli się partyzant kryje w terenie przed kulami przeciwnika. Wszakżeż wszystkie regularne armie ćwiczą w tym kierunku pilnie swoje szeregi.

Potępiając dowódców i organizację cywilną, zapomina autor o tych potężnych trudnościach, jakie stawiały w drodze organizacyi i wymarszowi oddziałów, zarządzenia władz i komend austriackich. Władze te i komendy miały o wszystkim dokładne relacje z ust własnego personalu i nie potrzebowały wcale w tej mierze pomocy ze strony zdrajców sprawy narodowej. Wielka szkoda, że autor nie zajrzał do aktów ówczesnych procesów politycznych, przeprowadzanych przez lwowski sąd kryminalny, które to akta, leżą do dyspozycji historyków całemi stosami w „Archiwum grodzkiem i ziemskim“, szkoda, że nie zadał sobie trudu i nie wyjaśnił w imię słuszności i prawdy tak donosnego czynnika w przebiegu ówczesnych wypadków. Byłby musiał dojść do przekonania, że władze austriackie udzielały swych spostrzeżeń i wiadomości władzom rosyjskim i przez szpiegów pogranicznym ich komendom, tak, że wszystkie przekraczające granicę oddziały powstańcze natrafiały zaraz u wstępu na rozstawione odpowiednio siły regularnego wojska rosyjskiego i na p'anowane przez nie zasadzki. — To też prawie żaden oddział nie przebił się w swym składzie w głąb kraju, każdy poniósł klęskę już w pobliżu szpów granicznych, a zjawisko to dało bezkrytycznym jednostkom powód do zarzutów skierowanych niesłusznie bądźto przeciw organizacyi cywilnej, bądź przeciw poszczególnym dowódcom.

Gdyby był autor „Wyprawy wołyńskiej“ spełnił w wyłuszczonej kierunku należycie swój obowiązek, byłby musiał w innem oświetleniu przedstawić przebieg wypadków, byłby oszczędził nieuzasadnionych zarzutów poszczególnym osobistościom i nie byłby niezdrowego pokarmu historycznego podawał czytelnikom i potomnym pokoleniom.

Nie wdajemy się w szczegółowe wyliczanie usterek i błędów, jakie widnieją na kartach broszury „Wyprawa wołyńska“, musieliśmy bowiem przerabiać z gruntu całą opowieść, musieliśmy poodrzucać to, co przekracza ramy właściwego tematu, a co autor przytacza ochotnie jako uboczne wycieczki, skierowane przeciw jednostkom, pochwyconym pod ostrze jego pióra. — Ograniczamy się na ogólnym zarzucie, iż autor oparł się na jednostronnych, o wątpliwej wartości, nawet wręcz niewiarygodnych źródłach, iż pominął kopalnię w tej mierze, jakiej dostarczają akta procesów politycznych, iż stał się winnym wielu niedokładności, pominął cały szereg wchodzących w grę czynników, skryształizował zresztą, niejasno i chaotycznie rzucane na papier myśli i stworzył broszurę, czyniącą na czytelniku wrażenie subiektywnego, a nie obiektywnego przedstawienia sprawy, broszurę pozbawioną przez to historycznej wartości. Czuje to widocznie chyba i sam autor, skoro na końcu swej przedmowy

wypowiada zdanie, że „w pracy swej nie odpowiedział założeniu“. — My dodamy jeszcze słowa: „nieodpowiedział i wymogom stawianym do bezstronnego, a gruntownego badacza przeszłości“.

W przedmowie swojej podniósł autor zasługę w „oczyszczaniu wielkich wypadków życia narodu naszego z fałszywego bohaterstwa i frazesowych bohaterów“. Nie wiemy zaprawdę, jaki związek ma mieć ten bombastyczny zwrot z całością broszury: „Wyprawa wołyńska“; wszakże nikt nie pretendował i nie pretenduje z tytułu tej wyprawy do laurów bohatera, a „bohaterką“ była jedynie śmierć na polu walki, jaką poniósł pułkownik Franciszek Horodyński. Skoro więc nie ma kandydatów na „frazesowych bohaterów“, niewyjaśnionem przeciw komu jeży autor swoją włócznią. Nie dzielimy zdania autora co do trudności w badaniu przebiegu zdarzeń, dlatego, iż żyją ludzie, którzy w wypadkach uczestniczyli; czyż wychodziłby autor z założenia: „że prawda historyczna polega na milczeniu umarłych“?

[Swoją drogą, że z innych powodów byłby autor lepiej uczynił, gdyby powstrzymał się był obecnie od krytyki wyprawy wołyńskiej, aż do czasu zdobycia wiarygodnych i sumiennie napisanych źródeł, wszakże znanym jest zapewne autorowi wypadek z Leonem Krzemienieckim, o którym ogłoszono urbi et orbi, że rozpoczynał szereg publikacji, mających przekreślaniem faktów i czerpaniem z mętnych źródeł zohydzać i bezczęścić całą walkę wolnościową r. 1863/64, której nawet rosyjski pisarz M. Berg oddał uznanie słowami:

„Podziwiać i uczcić należy ten zapał, jaki ogarniał szeregi młodzi powstańczej, jej szaloną odwagę i tę pogardę śmierci, z jaką rzuciła się na wyćwiczone w boju i karne zastępy regularnego wojska, odnosząc nad niem niejednokrotnie zwycięstwo“.

Tak pisał autor Rosyanin, a jak pisze autor Polak? ...

Józef Miniewski.

O broszurze Fr. Rawity Gawrońskiego.

„WYPRAWA WOŁYŃSKA EPIZOD z r. 1863“

(Warszawa 1914).

Poraz drugi już bierze autor pióro do ręki, aby pisać o wyprawie na Radziwiłłów. Dlaczego?! Pytanie to stawia p. Józef Białynia Chokodecki w recenzji swej o tej broszurze, a nie odpowiada jednak na zapytanie.

Otóż jako ten, któremu w akcie zemsty, poświęconą jest ta już niby bezinteresowna, a uciążliwa publikacja p. Fr. Rawity Gawrońskiego (do nabycia za 1 rs.) ośmielam się w krótkości sprawę wyjaśnić:

Pan Gawroński, będąc prezesem Komitetu obchodu ku uczczeniu 50 rocznicy powstania 1863/4. stanął do ogłoszonego przez ów Komitet konkursu i napisał popularne dziełko o powstaniu 1863/4.

Jako prezesowi za nieczytaną, zdaje się, jego pracę... „Walka o wolność“ przyznał wprowadzony w błąd Komitet nagrodę 1000 Kor. w przekonaniu, że jako tak głośny (!) historyk, publicysta i prezes Komitetu nie mógł wystąpić z jakąś lichotą. Aż tu znalazł się cichy (skromny) człowiek żyjący, który upomniał się o krzywdę jemu i idei 1863/4 wyrządzoną i wystąpił z listem otwartym do p. Rawity Gawrońskiego, w przekonaniu, że szkodliwa i na fałszywych faktach oparta praca, zostanie zniszczoną, a 1000 Kor. zwróci p. Gawroński funduszowi Narodowemu. Niestety w tym kierunku przypuszczenie zawiodło, p. Gawroński zatrzymał sobie 1000 koron.

Za listem otwartym Miniewskiego, okazały się oceny radcy Józefa Białyni Chołodeckiego, profesora Leona Syroczyńskiego, Edwarda Webersfelda, dowodzące nie tylko bezwartowości, ale szkodliwości tego popularnego wydania p. Gawrońskiego.

Za te krytyki, druzgocące pracę tak wiele o sobie mniemający historyk, ma całą urazę do Miniewskiego, który upomniawszy się o swą krzywdę, wywołał szereg upokorzeń dla tego reprezentanta (jak mniema) nieomylnych krytyków! Zapowiedział też w swem gronie znajomych, Miniewskiemu zemstę i dotrzymał zapowiedzi, wydrukował w Warszawie owoc swej rocznej pracy „Wyprawę Wołyńską“ powołał fałszywe źródła, zmyślane, a p. Gawrońskiemu dogodne opowieści i w tem mieści się rozwiązanie zapytania postawionego przez radcę J. B. Chołodeckiego, dlaczego wydał p. Gawroński publikację, gdy sam przyznaje, że zadaniu nie sprostał!!!

Nie wchodzę w wartość tej pracy, już nie dla zdobycia tysiąca koron premii konkursowej, lecz dla zamiaru zgębienia Miniewskiego podjętej, niewchodzę w sztuczne zestawienie faktów i dat, oraz fantastyczną strategię wielkiego (!) historyka, nie wchodzę w błędy i nieprawdy co do innych dowodów i osób, którzy nieżyjąc niemogą się bronić, a przystąpię tylko do wykazania wartości źródeł, na których pan historyk pracę swą opiera!

P. historyk degradowe Miniewskiego, co do jego zbrodni, w drugiej swej pracy, bo gdy w „Walce o Wolność“ czyni go odpowiedzialnym za nieudanie się całego powstania, to w „Wyprawie wołyńskiej“ czyni go tylko odpowiedzialnym katastrofy pod Radziwiłowem. Czy się to godzi taką mu wyrządzać krzywdę i odbierać honor większego winowajcy?!

Panu Gawrońskiemu podobają się odrzucić świadectwo pułkownika Strusia byłego prezesa Sądu wojennego, który pisze: „Do J. W. P. Pułkownika Józefa Miniewskiego. J. Wielmożny Panie Pułkowniku. Jako prezes Sądu wojennego nad Je-

nerałem Wysockim, po jego wyprawie na Radziwiłów, oświadczam, że między innemi dokumentami miałem raport p. Pułkownika o przyczynach jakie spowodowały Pana, żeś nie wyszedł z oddziałem za granicę, na pomoc Wysockiemu, ale przyczyny te zostały uznane za zupełnie usprawiedliwiające Pana, a obwiniające Komitet, który kierował wyprawą i przygotowywał wszystko dla oddziałów. Nikomu i przez myśl nie przechodziło do pociągania p. Pułkownika do odpowiedzialności za to, co się stało. Z wysokiem poważaniem I. Stella Sawicki, b. pułk. Strus mp.“ Własnoręczność pisma i podpisu pułkownika Strusia stwierdzają: Józef Męciński prezes Tow. wzaj. pom. ucz. powst. polsk. 1863/4. Wojciech Biechoński wiceprezes, Władysław Szyzkowski zast. prezesa.“

Przyjmuje p. Gawroński jako dokument pamiętnik Ziemialkowskiego, który sam nie wie już, co przedtem napisał, p. Gawroński zaś nie umie, a może nie chce drukowanego dokładnie przeczytać, rozważyć i spostrzedz w tomie III. pamiętnika Ziemialkowskiego str. 133 ustęp, że p. Burczyński został do odpowiedzialności pociągnięty, za niedostawienie na czas ludzi do obozu Miniewskiego. Zawinił więc w danym razie pan Burczyński, nie Miniewski.

Moglibyśmy skończyć na tem, ale p. Ziemialkowski a z nim p. Gawroński, zgorszeni są, że Miniewski leżąc na dywanie (chyba na derce) zapijał rozebrany lemoniadę! Otóż że pił lemoniadę, prawda, ale że był rozebrany, nieprawda, gdyż przez 6 dni marszów po Galicyi nie miał ani chwili wypoczynku, by się móżdż rozbierać. Dziwne tylko, że nie gorszyli się i nie wiedzieli ci panowie, jak Miniewski w marszu ku Oczciowi gasił pragnienie błotem czerpanem dłonią z kałuży, by odświeżyć spieczone usta i gardło od ugania się w spiekotę, z niesforną jeszcze kupą ludzi, których miał przeistoczyć w żołnierzy. Zgorszonym jest autor, że hr. Czapski uważał się za szczęśliwego, mogąc się umyć i paznogie oczyścić. — Widocznie p. historyk, przewodnicząc na posiedzeniach i królując w restauracyi Lasockiego, Musiałowicza i innych. nie miał sposobności doświadczyć, czem jest duszenie się z pragnienia i jak to jest dotkliwem dla człowieka przywykłego do wygód cywilizacyi, gdy wymaganiom czystości i higieny zadość uczynić nie może.—Czyż tego za pewną zasługę uważać by nienależało, że ludzie przyzwyczajeni do wygód i zbytku, jak hr. Czapski, Czosnowski, Bogusz i inni, porzucili wygody domowe, by na ódgłos pobudki narodowej stanąć pod sztandarem obowiązku, o którym p. historyk nie ma pojęcia. On widocznie, pobudki ich czynów nie rozumie! P. historyk cytuje sam raport Miniewskiego, który złożył przybyłym doń pułkownikowi Strusowi i hr. Tadeuszowi Tarnowskiemu, a powtarza za panią matką pacierz, że się nie usprawiedliwił. Opiera swe twierdzenie na jakiejś opowieści Ziemialkowskiego, że Miniewski na wezwanie Sądu się nie stawił, tymczasem o takim wezwaniu ani prezes Sądu wojennego, ani

Miniewski nie słyszeli, ani nie wiedzieli. Podaje p. Gawroński na podstawie doniesienia p. Gebharta z r. 1913, że on Gebhardt wraz z p. Kastro stali na straży na ulicy, gdy to posiedzenie miało miejsce, kiedy było — milczy jednak p. Gawroński. Tak pułk. Struś, jak Miniewski dowiedzieli się o tem wszystkim dopiero z pamiętników Ziemiałkowskiego, ogłoszonych drukiem 1904 r.

Co się tyczy osoby świadczącej o tem posiedzeniu, mianowicie p. Gebhardta, to jest on zasłużonym powstańcem, zaraz bowiem od pierwszych strzałów w bitwie pod Kobylanką został trafiony w rękę, którą musiano mu odjąć, lecz żeby mógł być świadkiem dowodowym na to, co się działo przed 50 laty, jest rzeczą wątpliwą. Dla p. Gawrońskiego jest każde źródło dobrem, byleby świadczyło przeciw Miniewskiemu. P. Gebhardt wyszedł do powstania jako 19 letni młodzieniaszek bez nauki i szkół, i nie był wówczas na tyle uświadomiony, by mu jako młodzieniaszkowi powierzono tajemnicę posiedzenia obrad, które się miały odbywać i pełnienie służby narodowej agenta policyjnego. Uświadomienia p. Gebhardta dokonali szlachetni księżstwo Sapiehowie, kształcac go dalej swym sumptem, już po powstaniu, a zaszczytne kalectwo było paszportem otwierającym mu drzwi domów i instytucyi.

Gdy dokumenta co do wyprawy wołyńskiej, mimo przedsięwziętego z wielkim talentem i wysiłkiem nakręcenia strategicznego faktów i dat, czasu i miejsc, oraz pięknie wygłoszonych zdań, jak sam historyk uznał, niebardzo wystarczyły, by potępić Miniewskiego, cofnął się p. Gawroński wstecz i znalazł powolnego służkę w osobie p. Teofila Bentkowskiego, który po liście otwartym Miniewskiego do pana R. Gawrońskiego, chciał mu przysłużyć się relacją z wyprawy krakowskiej.

Na str. 35., „Wyprawa Wołyńska“ w przypiskach pisze p. historyk Gawroński, że „Miniewski po bitwie pod Krzykawką, zsiadł z konia, oddał go Bentkowskiemu, a sam uciekł przez bagna“. Otóż p. historyk znalazł godnego siebie świadka. Dowiedz się jednak szanowny historyku, przedstawiający fałszywie prawdziwe fakta, że Miniewski ani podczas bitwy, ani po bitwie nie siedział na koniu, gdyż było czystem niepodobieństwem dla dowódcy kierującego bitwą, w tych warunkach obrony, na kraju lasu komenderować z konia. Rzecz więc miała się inaczej. Świadek p. Teofil Bentkowski, gdyby chciał prawdę powiedzieć, — co by mu jako Sodalisowi Maryjańskiemu bardzo było do twarzy — musiał by przyznać że Miniewski po bitwie zażądał ochotnika do wzięcia na jego koniu skrzynki z apteką i instrumentami, którą ciężko znużonych i wyczerpanych żołnierzy pieszych obciążyć nie chciał, a usiłował ją pomimo to zabrać, kierując się w głąb kraju.

Na ochotnika przedstawił się dzisiejszy p. Teofil Bentkowski, właściwie nazywający się „Pindelski“ z Krakowa i temu to powierzył Miniewski skrzynkę i dał konia swego do wzięcia, sam zaś chyba nie jako tchórz, gdy z prostego szeregowca w ciągu

jednej kampanii dosłużył się godności pułkownika, prowadził pieszo oddział przez las, piaski, rzekę Przemszę, pod sztuczerowym ogniem moskali. Odważny (!) Bentkowski recte Pindelski, wydostawszy się z oddziałem z lasu, gdy Moskałe prążyli uступujący przez piaski w kolumnach oddział, a kule świstały denerwująco, dbając o swoją osobę, zamiast trzymać się oddziału, dał koniowi lędkę (jak sam opowiadał) i dopadł krzaków, któremi odważnie galopując (a może rozpędzając Moskali?) natrafił na bagna, gdzie koń zaczął się zapadać, rzucił więc skrzynkę do błota, by ulżyć koniowi, a sam nie narażając swego drogiego życia, uciekł odważnie do Galicyi. Tacy to wielcy bohaterowie wytykają dziś zarządzenia swych dawnych zwierzchników i na takich to opowieściach opiera swe pisma historyczne p. Rawita Gawroński. Tęgo rodzaju świadków może słusznie p. Gawroński w poczet swych bohaterów umieścić, bo z ludzi prawdziwej zasługi w powstaniu nikt do bohaterstwa nie pretendował. Ludzie podobni do wymienionego powyż p. Bentkowskiego, nosili w czasach powstania nazwę uciekinierów i nikt nie przypuszczał wówczas, że oni to będą odgrywać tak ważną rolę — w dokumentach historycznych.

Dziś po 50 latach od czasu powstania, ilu to znajduje się bohaterów tej miary, godnych uwieńczenia piórem p. Rawity Gawrońskiego — co to za jednym strzałem zabijał 12 Moskali lub jednym zamachem kosy 9 głów ścinał. Na ich czele wypędziłby bezwątpienia sławny historyk nie tylko Moskali z Radziwiłowa, ale odbudowałby Polskę od morza do morza!

Gdyby Miniewski miał zamiar uciekać, to każdy zdrowo myślący przyzna, nie oddawałby konia, lecz czmychałby na koniu jak p. Bentkowski. — Tylko p. Gawroński nie umie dopatrzeć w swem twierdzeniu nielogiczności, tak jak nie zdoła pojąć, że gdyby Miniewskiego dotyczył zarzut tchórzostwa, nie byłby mu rząd narodowy poruczył później dowództwa oddziału w wyprawie Wolińskiej!

Miniewski idąc do powstania, nie pozostawił za sobą furtki do powrotu, nie przybierał cudzego nazwiska, nie żądał, by za niego długi płacono, lub zółd mu płacono, a bohater p. Pindelski w półwieku po powstaniu używa cudzego nazwiska ogólnie szanowanego i czczonego w czasie powstania Bentkowskiego. Łatwo zrozumieć dlaczego.

Przyjmując tak chętnie fałszywe oszczerze — za dokumenta historyczne, bez sprawdzenia wiarygodności osób i źródeł, p. historyk Gawroński nie pomyślał zapewne, że to jest demoralizacją karygodną, że dopuszcza się moralnej zbrodni, bo wpaja w publiczność czytającą niewiarę do historii, bo naprowadza na myśl, że może i fakta z przeszłości, których nas uczono w szkołach, są na podobnie fałszywych źródłach oparte.

Smutno, bardzo smutno powiedzieć, że p. Fr. Rawita Gawroński przyjąwszy prezesostwo Komitetu ku uczczeniu 50 rocznicy

powstania 1863/4, otrzymawszy nagrodę konkursową 1000 kor. naraziwszy fundusz ze składek narodowych na stratę kilkuty-sięcznego wydawnictwa, jego nieodpowiedniej broszury idzie równolegle z Witgensteinem, Krzemienieckim, którzy piszą i drukują, a żeby zohydzić powstanie. Przecież Krzemieniecki, nie dla czego innego wydał pamiętniki p. Kality, które wywołały ogólne oburzenie w uświadomionych uczestnikach powstania 1863/4, a co do których sędzia śledczy sprawy Krzemienieckiego wiary dać nie chciał, by je powstaniec pisał! A przecież p. historyk Fr. Rawita Gawroński w recenzji swej o tych pamiętnikach podniósł je do godności jedynych prawdziwych źródeł historycznych (Gazeta Narodowa z dnia 26/II. 1913 Nr. 273). Nie dziw, że i jego broszura „Wyprawa Wołyńska“ mogła być drukowana w Warszawie, nie narażając ani wydawcy na karę, bo takie pisma rząd rosyjski proteguje — zatem nie potrzebuje innego chyba oświecenia!

Przyjdzie jednak czas, że szanująca się opinia publiczna zbudzi się i zażąda rachunku od tych pisarzy, którzy nadużywając imienia historyka, podają publiczności fakta fałszywe i przekręcone, a historycy prawdy wystąpią przeciw osobie nadużywającej zaszczytnej godności historyka.

Rozmiary pisma nie pozwalają na szczegółowe wyjaśnienia zarzutów różnych, mieszczących się w broszurze „Wyprawa Wołyńska“.

Z p. Fr. Rawitą Gawrońskim kończę polemikę, filozoficzną sentencją Sotera Rozmiara Rozbickiego — którą dzieckiem będąc odczytywałem, a która się rozpoczyna: „Było to w śródo-poście, stałem sobie na moście oparty na krawędzi etc. etc.“.

Lwów, dnia 2. lipca 1914.

tj. w 51 rocznicę bitwy pod Radziwiłowem.

Józef Miniewski.



DODATEK.

ŚPIEW DRUGIEJ KOMPANII ŻUAWÓW PUŁK. MINIEWSKIEGO.

Jedna wiara, jedno tchnienie
Żywi nasze serca:
Niech żyje ojczyzna wolna!
Niech zginie morderca!
Każdy duchem sił potężny,
Lećmyż na bój krwawy!
Na czele wódz mężny
Prowadzi Żuawy.
Polska cała a śmierć wrogom
Dzisiaj hasłem naszym
Równość, wolność, niepodległość
Wywalczym pałaszem!
A więc naprzód marsz Żuawy!
Na czele wódz śmiały
Powiedzie nas przez bój krwawy
Do zwycięstw i chwały.
Przebyliśmy zimę w lesie
Przebędziemy lato.
Bóg co pomoc biednym niesie
Da zwycięstwo za to.
A więc śmiało z wiarą w duszy
I Kościuszki mieczem!
Mongolskiego najezdnieka
Na kapustę zsieczem.

Ręka w rękę równość zgoda
Takie hasła mamy,
Póki serce bije w łonie
Miecza nie oddamy.
A gdy wroga pobijemy
Wolni wykrzykniemy:
Żyj Miniewski, żyj nam dzielny!
Synu Czerskiej ziemi!

Antoni Wojciecki.

MARSZ ŻUAWÓW Z ODDZIAŁU PUŁK. MINIEWSKIEGO.

Nie masz to wiary, jak w naszym znaku!
Na bakier fezy, do góry wasy —
Śmiech - i manierek brzęk na biwaku,
W marszu się idzie, jak gdyby w płasy.
Lecz gdy bój zawrze, to nie na żarty
Znak i karabin do ręki bierzem.
A Polak w boju kiedy uparty,
Stanie odrazu starym żołnierzem.

Marsz marsz Żuawyl
Na bój, na krwawy,
Święty a prawy — marsz!

Pamięta Moskwa, co Żuaw znaczy,
Drżąc żołdat jego wspomina imię;
Sporo bo nakłuił carskich siepaczy
Brat nasz, francuski Żuawek w Krymie.
Miechów, Sosnowkę, Chrobrz, Grochowska
Dzwoniąc też w zęby wspomni zboj cara —
Krwia garstka doszła mężnych nazwiska,
Garstka się biła, jak stara wiara.

Marsz marsz Żuawyl i t. d.

Kiedy rozsypiem się w tyraliery,
Zabawnie pełzniem z bronią, jak krety;
Lecz lepszy ogień — gęsty a szczery,
I lepszy rozkaz: marsz na bagnety!
Bo to sam bagnet w ręku aż rośnie,
Jak wzrasta zapał w dzielnym ataku;
Hurra! i hurra huczy radośnie,
Górą krzyż biały na czarnym, znaku!

Marsz marsz Żuawyl i t. d.

W śniegu i błocie mokre noclegi,
Choć się zasypia przy sosem szumie,
W ogniu rzednieją djabło szeregi,
Chociaż się zaraz szlusować umie.
A braciom ległym na polu, chwały
Mówimy: wkrótce nas zobaczycie!
Pierw za jednego z was pluton cały
Zbójów, nam odda marne ławe życie.

Marsz marsz Żuawy! i t. d.

Po boju spoczniem na wsi czy w mieście,
Cóż to za słodka dla nas podzięka,
Gdy spojrzy mile oko niewieście,
Twarz zapłoniona błysnie z okienka!
Bo serce Polek, bo ich urodę
Żuaw czci z serca, jak żołnierz prawy,
I choćby za tę jedną nagrodę,
Winien być pierwszy wśród boju wrzawy.

Marsz marsz Żuawy! i t. d.

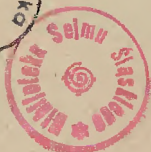
Nie lubim spierać się o cześć kwestje,
Ale na marne carskie dekrety,
Jakieś koncesje, jakieś amnestje
Jedna odpowiedź: marsz na bagnety!
By ta odpowiedź była dobitna,
Wystosowana zdrowo a celnie,
Niech ją Żuawy najpierwsi wytną,
Bagnety nasze piszą czytelnie.

Marsz marsz Żuawy! i t. d.

Słońce lśni jasno, albo z za chmury,
Różne są losy nie równej wojny.
Żuaw ma zawsze wasy do góry,
Z bronią u boku zawsze spokojny.
Kiedyśmy mogli z dłońmi gołemi
Oprzeć się dzikiej hordzie żołnierzy,
To z bronią wyprzem ich z polskiej ziemi,
Nie do Żuawów, — kto w to nie wierzy!

Marsz marsz Żuawy! i t. d.

Władzimirz Wolski.



SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa wydawcy	3
Józef Białynia-Chołoddecki. Kilka uwag na temat partyzantki z lat 1863/64	6
Józef Nieczuja Miniewski. Notatki z lat młodych	10
Rozdział I.	
Pod komendą Śmiechowskiego, Jeziorańskiego i Langiewicza	10
Rozdział II.	
Wyprawa krakowska. Oddział mazowiecki	25
Rozdział III.	
Wyprawa wołyńska	33
Rozdział IV.	
Epizody, dotyczące udziału J. Miniewskiego w powstaniu styczniowym	49
Rozdział V.	
Listy otwarte J. Miniewskiego	63
Rozdział VI.	
Głosy krytyki J. B. Chołoddeckiego i J. Miniewskiego	74
Dodatek	92

